

zdarzenia

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

KRAKÓW

2. VI. 1957 r.

Nr 4

CLNA Zł 1.50

700
LAT



BUDOWANO KRAKÓW
ZANIM UZYSKAŁ DZI-
SIEJSZY WYGLĄD. O NAJ-
WAŻNIEJSZYM WYDA-
RZENIU W PRZESZŁOŚCI,
TERAŻNIEJSZOŚCI I ...
PRZYSZŁOŚCI TEGO MIA-
STA MÓWIĄ NA STRONIE
5-TEJ ZNANI I MNIEJ
ZNANI OBYWATELE KRA-
KOWA.

PROCES PRZECIW PODHAŁU?

Chłopak na ławie oskarżonych jest niewysoki, krępy, ładny, typowo słowiańską urodą. Siedzi nieruchomo, niekiedy przeczesuje palcami obu rąk włosy o pięknej barwie zboża. W przerwach chętnie pali papierosa, którym częstują go milicjanci i rozgląda się po sali. Fotoreporterzy narzekają między sobą na jego twarz niepodatną dla obiektywu. Ta twarz rzeczywiście nic nie mówi, nawet kiedy płyną po niej łzy.

Chłopak na tydzień przed rozpoczęciem procesu skończył 19 lat i odpowiada przed sądem z art. 225 § 1 k. k. Płacze, bo oskarżyciel publiczny zażądał dla niego kary śmierci. Podobno przed trzema miesiącami, kilkanaście minut przed zamordowaniem człowieka, także płakał, z wściekłości; w rozpoczętej przez siebie bójce i on został uderzony, przeciwnik wchodził się w tłum, nikt nie umiał mu wskazać, jak go ścigać. Bił więc po twarzy siostrę, bił kelnerkę, rzucał kufłami i butelkami od wódki w ludzi, którzy uciekali zbyt powoli — to wszystko nie wystarczyło. Zmiażdżył sztachetą czaszkę pierwszego napotkanego na drodze człowieka, dwukrotnie wracał się, żeby go kopać, lżyć i próbował zamiany sztachety na krzesło. Później poszedł spać. Rano, jak codziennie opalając pokoje domu wczasowego, zwierzał się gościom, którzy wczoraj stawiali mu wódkę, że jest niedobrze, bo milicja już o niego pyta.

Jan Łojas, od roku pełnoletni, jest bardzo silny i zdrowy. Ludzie o jego kondycji fizycznej chorują zazwyczaj nieczęsto, żyją najdłużej. Jan Łojas do końca życia przebywać ma w więzieniu. Sąd skazał go na dożywocie.

ŁOJASOWA WIE SWOJE

Na korytarzu sądowym góralka rozpycha tłum, szlochając rzuca się do nóg inżyniera Ormana. Odciągnięta siłą — prosi, nie, krzyczy z całą siłą rozpacz, aby „pan” przebaczył, dopomógł jej dziecku. Dopomógł — to znaczy zrezygnował z odwetu, ułagodził sędziów.

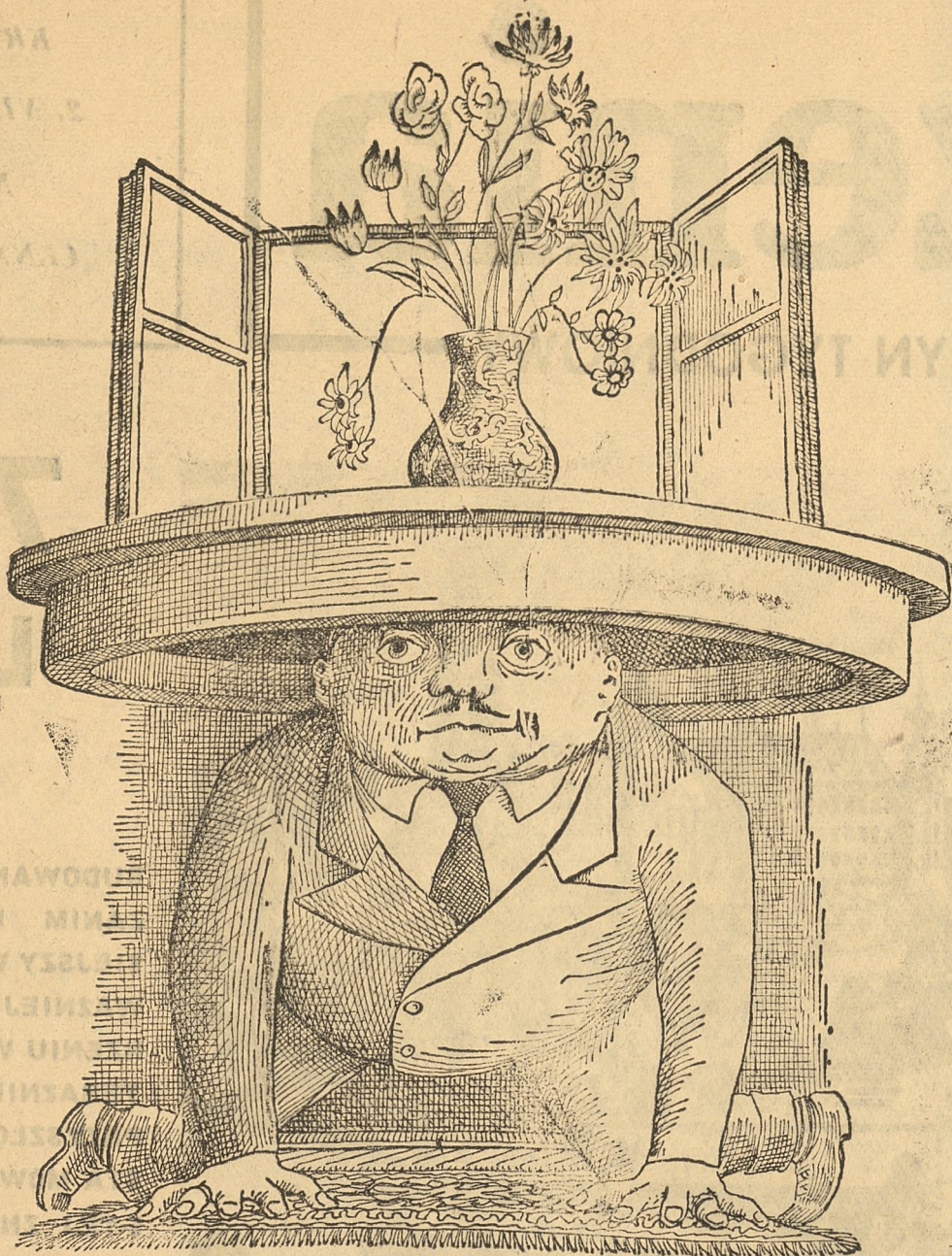
— Kobieto, zrozumże, to już nic nie pomoże — perswaduje milicjant. — Tu jest sąd!

Łojasowa nie słucha. Ona wie lepiej. Dla niej — czy tylko dla niej? — ostrość reakcji społecznej wokół sprawy Łojasa, sprowadza się do jednego zrozumienia: ojcowie Ormana, ludzie wpływowi i społeczni, dochodzą swojej krzywdy przeciw góralowi. To ojciec zabitego powiadomił kraj o swej krzywdzie — i on teraz decydować będzie, jaka kara ma spotkać Jaśka.

(Ciąg dalszy na str. 3)



FELIETON O BOŻYCH KRÓWKACH



Rys. MRÓZ

Ostatnio zrobiło się w Krakowie jakby trudniej o taksówkę. Zauważyłem to, kiedy, spiesząc się, musiałem zastosować metodę zasadniczo warszawską, to znaczy skoki na jezdnię pod koła, połączone z rozpaczliwym machaniem. Kierowca, zaindugowany, wyjął mi przyczynę wzmożonego ruchu: powiedział, że to „prywatna inicjatywa się rusza”. Spieszmy im się do interesów, czasu im szkoda, forsa jest, no to datego.

Zamyśliłem się. Skądinąd słyszy się, a także czyta w prasie narzekania na rodzimych kapitalistów, że jak im się pofolgowało, to zamiast produkować, pomagać w budowie zębów i uzdrawiać, drą skórę, spekulują, wykupują towary ze sklepów państwowych i koncentrują uwagę najchętniej na asortymentach „ciuchowych” — zresztą w dużej części pochodzących z PKO (ek-

sport wewnętrzny). To całe PKO jest swoją drogą warte opisanie i dziwię się, że żaden dziennikarz jeszcze tej bonancy nie ruszył. To znaczy, pisali różni ekonomiści, ale tak od strony realiów, podszewki i całej giełdy na Mazowieckiej nikt nawet nie tknął tak sensacyjnego tematu.

Ale dzisiaj chciałbym zająć się raczej krajowymi kapitalistami. Chyba to prawda, że spekulują, zdzierają skórę, dużo niedobrego można o ich machinacjach powiedzieć, a jednak mam ochotę podjąć się ich obrony. Co prawda nie jestem pewny, czy byłiby z niej zadowoleni.

Jeżeli ktoś chowa latami dziecko pod stołem, wciąż tylko pod stołem, a potem wyprowadzi je pewnego dnia na ulicę, to nie ma co wydziwiać, że boi się światła, że taką ma rozplaszczoną głowę i chce cho-

dzić tylko na czworakach. Każdy ma takie dzieci, jakie wychował. Powiadają, że kapitalista dąży zawsze do maksymalnego zysku. Pewno, coś w tym jest, ale zagraniczny kapitalista, jeżeli ma las, to nie wyrąbie go od razu na sprzedaż, bo będzie myślał o przyszłości własnej firmy, o tym, że musi pamiętać o swoich dzieciach i dzieciach tych dzieci. To się nazywa racjonalna gospodarka. U nas naturalnie wsadziłby w łapę komu trzeba, dostał jakieś pozwolenko, i wykosiłby wszystkie drzewa aż po horyzont. Po czym pojechałby do Gdyni kupować auta i zegarkę od marynarzy. Też handel. Różnica wypływa z różnicy warunków ekonomicznych — ale także i postaw psychicznych. Chodzi po prostu o stabilizację prawną, gospodarczą, życiową, o kredyt zaufania potrzebny maszynie społecz-

nej co najmniej tak samo, jak kredyty finansowe.

Pewno, że kapitalista zagraniczny to wyzyskiwacz, i nasz też wyzyskiwacz, ale różnią się między sobą, jak, powiedzmy, boża krówka i pluskwa. Boża krówka — szkodnik, ale przynajmniej miły dla oka, czego o pluskwie nie da się powiedzieć. Siedzi za tapetą, nie ma za grosz zaufania, światła się boi, byle co, od razu w nogi, chytra piekielnia, a jak się dorwie do interesu, tj. do człowieka, to o tym tylko myśli, żeby się krwi nażłopać. Brzydko to bardzo, ale co robić — okoliczności życia kształtują każdą żywą istotę, nie tylko pluskwę.

Czy zresztą tylko chciwość winna? Wiedzie, jak chłopci w podgórskich wioskach wywiązywali się w minionych latach z dostaw nabiału, np. masła? Masła często nie produkowali. Trudno bez krowy, a do stawiać było trzeba, to szli do spół-

szacowne! Taki stosunek do normy współżycia międzyludzkiego wytworzył się np. w krajach skandynawskich i anglosaskich. Natomiast tam, gdzie co jakiś czas prawa się zmieniają, gdzie to, co karalne, co zakazane, przestaje być takim z roku na rok, tam zobowiązania, wypływające z faktu istnienia więzi społecznej, normy współżycia, stają się w oczach przeciętnego człowieka czymś chwiejnym, zwiewnym, przemijalnym, czego nie musi się brać całkiem serio. Kto raz nauczył się pmi-jać przepisy głupie, niepraktyczne, kiopotliwe, kto dorobił sobie do nich wytrych, ten zawsze będzie już trochę skłonny do podobnego majstro-wania przy przepisach potrzebnych, rozumnych, nawet niezbędnych. Najgorzej zaś, jeśli przepisy, czy prawa ulegają zmianom diametralnym, biegunowym. Następuje wtedy relatywizacja pojęć takich, jak uczciwość, sumienność, staranność, zatrała po-

S T. L E M

dzielni, kupowali masło po 45 zł kilogram i nieśli do punktu skupu, gdzie dostawali za nie trochę mniej niż połowę tego, co sami zapłacili. Stamtąd to masło szło do spółdzielni z powrotem, przychodzili inni chłopci, znów je kupowali i odnosili do punktu skupu. Niejeden kilogram masła kręcił się jak fryga, wypełniając takimi „obrotami” statystyki i umożliwiając wspaniałe przekroczenie planu. Trudno przy najlepszej woli przypuścić, że takie widowisko działać mogło budująco.

Robi się teraz dużo, żeby takie nonsensy wyplenić, ale to nie łatwa rzecz: zaufanie społeczne, podstawa wszelkiej więzi międzyludzkiej, zostało w rozmaitych dziedzinach poważnie nadwątlone.

W społeczeństwach o wiekowej stabilizacji ustrojowej, nawet jeżeli ustroj nie jest sam w sobie najlepszy i rodzi sporo niesprawiedliwości, człowiek może nieraz ponosić mniejsze szkody na charakterze aniżeli w takim ustroju, który jest wprawdzie sprawiedliwszy, ale też wszelkie prawa, ustawy, obowiązki obywatelskie są w nim co jakiś czas poważnie zmieniane.

Nie trudno to wytłumaczyć. Prawa, choć wymyślone przez zwykłych ludzi, a nie „zesłane z nieba”, ustanowione zostały bardzo dawno i przez swą niezmiennność, przez to, że obrastają z czasem nienaruszalnością i czcigodnością, czynią na ludziach wrażenie, jak gdyby byli wieczne, niewzruszone: pokolenia żyją i umierają, a wciąż te same prawa rządzą wokół, w społeczeństwie, niby prawa natury, tak że w głowie nawet nikomu nie powstanie niesłychana myśl, żeby je naruszyć — takie są przecież pewne, takie

czucia jakichkolwiek obowiązków społecznych. Zjawisko niezmiennie groźne — na które natykamy się w kraju na każdym kroku. Prawa trzeba zmieniać, doskonalić, to się rozumie, to jest nieuniknione, ale trzeba też pamiętać, jakie niebezpieczeństwa kryje w sobie pospieszne tempo podobnych zmian.

Znacie może bajkę o takim pastusku, któremu powiedziano, że może w razie niebezpieczeństwa wezwać dobrego olbrzyma na pomoc, a on zaczął go wzywać ot tak, bez potrzeby, na próbę, z ciekawości. Przyszedł olbrzym raz, drugi, trzeci, a kiedy przyszły wilki i naprawdę zrobiło się nieprzyjemnie, szczeniak próżno się wydzykał: olbrzymowi nie chciało się już ani palcem ruszyć.

To chyba jasne. Nowe jakieś zarządzenie może być szalenie słuszne, celowe, mądre, cóż, kiedy człowiek, który widział, jak przed tym zarządzeniem było dzieśnięć (jeśli nie sto) innych, jak się zmieniali, jak zakazywały, nakazywały, ostrzegały, groziły — machnie teraz po prostu ręką, znudzony albo zmęczony i powie, że „się wymawia”, że ma dość. Obawiam się, że socjologia i psychologia społeczna lekceważą efekty podobnych zjawisk, zachodzących przy „dużej częstotliwości prowadzącej”. Może by się nasi uczeni zajęli tą problematyką? Istnieje przecież zmęczenie takich nawet odpor-nych materiałów, jak stal — kto wie, może istnieje też, jako pewna stała do wylczenia, „zmęczenie ustawodawcze” obywateli? Nie tylko tych z inicjatyw prywatnej — ale wszystkich. A co się tyczy kapitalistów, nie należy mieć w stosunku do nich złudzeń, ale też nie trzeba za wiele mieć im za złe: chowani przecież pod stołem.

POTRZEBNA CIERPLIWOŚĆ

„W pewnym momencie stosunki Jugosławii ze Związkiem Radzieckim i innymi krajami wschodnimi zaczęły się radykalnie polepszać. Jednakże powstała trudna sytuacja, rzecz można — katastrofa na Węgrzech i stosunki te zaczęły się pogarszać. My mieliśmy nasz pogląd na wydarzenia węgierskie, ich stanowisko było odmienne. Czyż jednak było rzeczą konieczną, byśmy oddalili się od siebie i przestali utrzymywać przyjacielskie stosunki z tego powodu, iż nasze poglądy na wydarzenia węgierskie nie były identyczne? Nie było to rzeczą konieczną. Kiedy stosunki zaczęły się pogarszać i zmierzać ku sytuacji, jaka istniała w 1948 r., obecni przywódcy niektórych krajów wschodnio-europejskich, a w szczególności Związku Radzieckiego, zrozumieli, że jest to niedobre i zahamowali tę tendencję. Powitaliśmy ten fakt z całego serca i ze swej strony występujemy z inicjatywą: poprawiamy nasze stosunki i wypuklamy te rzeczy, które nas łączą, które są dla nas wspólne. Takich rzeczy wspólnych jest wiele. Oni budują socjalizm na swój sposób, my na swój. To, co w ich metodach uważamy za pozytywne i pożyteczne, będziemy z całego serca przyjmować. I vice versa. Chętnie będziemy zawsze pokazywać to — co uznają oni za dobre w naszych me-

ZDERZENIA ZDERZENIA ZDERZENIA

todach. Nie mamy powodu do sporów. Powinniśmy odkrywać coraz więcej elementów łączących nas i czynić wszystko, by stopniowo usuwać elementy dzielące nas”. (J. Tito, z przemówienia w Vrutok).

TUPET

„44-letni Wacław Gordewicz, który przyjechał z wizytą z Polski do brata, stanął przed sądem w Manchesterze oskarżony o kradzież sztucznej biżuterii — 7 par koleczyków i broszki wartości 28 szylingów w Domu Towarowym. Sąd zwolnił go warunkowo od kary obciążając kosztami w wysokości 2 funty i 7 szylingów. Gordewicz, który przyznał się do winy, oświadczył, że w Polsce panuje straszliwa nędza oraz że mówiono mu, iż w Wielkiej Brytanii jest również bieda. Nie mógł uwierzyć swym oczom, gdy

oglądał tutejsze wystawy sklepów. Wszystkie jest w bród — stwierdził Gordewicz. Policji oświadczył, że myślał, iż tak wielki sklep może sobie pozwolić na straszenie kilku przedmiotów... Sędzia wydając wyrok stwierdził, że Wielka Brytania nie byłaby takim bogatym krajem gdyby ludzie wchodzili do sklepów i brali co się im podoba nie nie płacąc”. (Dziennik Polski i Żołnierza).

W ETERZE PRAWIE BEZ ZMIAN

„W audycjach radiowych ważne jest nie tylko to, by wyrazić taki czy inny słuszny pogląd, ale ponadto pogląd ten musi być podany w interesującej formie literackiej, zgodnej z typem audycji i z potrzebami słuchaczy. Jednakże bynajmniej nie wszyscy dziennikarze radiowi realizują tę zasadę,

Oto na przykład co radio astrachañskie opowiedziało dzieciom o lesie: „Lasem nazywamy zespół drzew powiązanych w pewną całość i wywierających wpływ na siebie nawzajem, na glebę i na świat zwierzęcy. Las jest skomplikowanym, ukształtowanym w biegu historii organizmem natury”. Radio kałuskie opowiedziało dzieciom: „Celem wycieczki jest zapoznanie się z taką, jaką zespołem roślin trawiających i naturalną bazą paszową dla hodowli”.

W dalszym ciągu artykułu omawia się audycje dziennika radiowego, którego wiadomości są skąpe i źle dobrane. „Niektóre audycje dziennika wieczornego nadawane przez radio ogólnozwiązkowe sprawiają wrażenie, że w kraju nie dzieje się nic, poza posiedzeniami”. (Sowietskaja Pieczat).

TOK MYŚLENIA

„Polityka Adenauera dała Niemcom odbudowę gospodarczą, olbrzymi potencjał przemysłowy, pozycję i kredyt polityczny, wreszcie armię. Więcej Zachód Niemcom dać nie może, teraz trzeba wymusić wrocie od Wschodu zjednoczenie, które oznaczać będzie dalszy wzrost potencjału i stworzy z Niemiec najpotężniejsze państwo na kontynencie. Po ustabilizowaniu tej pozycji, będzie można przystąpić do dalszego wygrywania Wschodu przeciw Zachodowi, a celem tej drugiej fazy miało być stworzenie „trzeciej siły” (ewentualnie wspólnie z innymi czynnikami) i wypowiadanie się jej za tym spośród dwóch bloków światowych, który gotów będzie zapewnić Niemcom większe możliwości dalszej ekspansji. Tak można by w uproszczonym skrócie scharakteryzować tok myślenia liberalistów i kół nacjonalistycznych w NRF”. (Przegląd Zachodni, organ Emigracyjnego Związku Polskich Ziem Zachodnich w Londynie).

283—104—50 MILIONÓW

„Produkcja stali w Związku Radzieckim wynosi obecnie 50 milionów ton rocznie i jest ponad 6-krotnie większa, niż przed 125 laty; do końca bieżącej 5-letniej produkcji stali ma wzrosnąć o dalsze 23 miliony ton.

W Stanach Zjednoczonych w (Dokończenie na str. 4)

PROCES PRZECIW PODHALU?

(Ciąg dalszy ze str. 1)

PRAWO STRACIŁO AUTORYTET

Tak w odczuciu prymitywnego człowieka — nie tylko jednej matki — tłumaczy się sprawa Łojasa. I wśród innych nie ta przyczyna jest ostatnią, że wieś góralska chętniej posługuje się terminem „sprawa Ormana”. Albowiem były już na Podhalu, były w innych stronach Polski dziesiątki spraw równego kalibru, spraw wyrosłych z rozpanoszonego chuligaństwa i alkoholizmu, z pobłażliwości władz porządkowych, z przekonania o łagodności sądów. I jeśli nawet stwierdzaliśmy od czasu do czasu groźne społeczne fakty — to nie szły w parze z tym stwierdzeniem skuteczne środki represji karnej, skuteczność metod zapobiegających pladze bandytyzmu.

DZIEJE PEWNEJ EDUKACJI

Trzykrotnie w przeciągu niespełna roku zatrzymywała Łojasa milicja. W kwietniu 56 po pijackiej awanturze trzeba go było siłą doprowadzić na komisariat. Z końcem stycznia 57 spisano z nim kolejny protokół, o pobicie na zabawie. W lutym br. — 11 dni przed zbrodnią — organizował „odbijanie” innego awanturnika z rąk interweniującej milicji, nawoływał otoczenie, aby kamieniem uderzyć funkcjonariusza.

Po każdym z tych wyczynów przeprowadzano z Łojasem... rozmowy wychowawcze. Grzywnę (!) zaspi-kowaną mu przez kolegium orzekające uchyliła amnestia...

Tak pojęte lekcje praworządności i respektu przed prawem istotnie mogą — prędzej czy później — doprowadzić do czynów, za które już się nie odzyskuje wolności.

Tak jest — prawo straciło u nas autorytet. Czy muszę aż na przykładach przypominać, jak często zabójca dla tych czy innych „okoliczności łagodzących” wędruje za kratki na 2—3 lata? Czy tolerancyjność jakże częstych ustaw amnestyjnych wobec więźniów kryminalnych, czy wieloletni system obligatoryjny w więziennictwie nie przyczyniły się do wytworzenia atmosfery, w której o sprawie Łojasa nie tylko na Podhalu mówi się jako o jednej z wielu?... Gdyby nie list otwarty p. Ormana do Sejmu, czy i ta sprawa wyszłaby na szerokie światło dzienne z czterech zamkniętych ścian sądu?...

SPRAWA „NIECODZIENNA”

Przed budynkiem sądu zaczęła mnie młoda kobieta.

— Jak góral górala s t u k n i e, to się cała Polska nie zlatuje na Podhale!

Taki jest — w Bukowinie i poza Bukowiną — pogląd na sedno sprawy. Jej niecodzienny radykalizm, jej niecodzienny rezonans w społeczeństwie sprawiły, że dla ludzi Podhala — jest to proces przeciwko Podhalu. I chyba nie nawet najgorętsze argumenty dziennikarza, lecz przede wszystkim systematyczna, równie jak w procesie Łojasa radykalna argumentacja powszechnego już wymiaru sprawiedliwości zdoła przekonać Podhale, że cena każdego życia jest równie wysoka w Bukowinie Tatrzańskiej, jak w Krakowie, w Warszawie, jak w Wołominie. Że za zbrodnie zabójstwa płaci się zawsze najciężiej, bez względu na pozycję socjalną, stanowisko własne czy zabitego przez siebie człowieka.

ŁUDZIE Z PROCESU ŁOJASA

Tadeusz Wojtanek, niespełna 17-letni przyjaciel Łojasa, nie umie czytać ani pisać: z a p o m n i a ł. Czy lubi wódkę? Jak okazja, to każdy wypije. Do gospody przyszedł się zabawić. Na awanturę nie patrzył, niczego nie słyszał. Wyszli z Łojasem, który zatrzymał się na chwilę, żeby uderzyć „pana”.

— A świadka to nie zainteresowało? — pyta sędzia.

— Nie.

— Nie zatrzymaliście się nawet?

— Nie. Po co?

— Przecież jesteście człowiekiem?

— A co będę podchodził, jak ten pan i tak już leżał...

Wojtanek jest ładnym, śniadym chłopcem o przyjemnej twarzy. Skończywszy zeznanie, ogląda się na Łojasa. Ułamkowa, nieuchwytna prawie, wymiana spojrzeń. Chyba i on nie powiedział niczego niepotrzebnego? Chyba nie zaszkodził?

GÓRAL I „INTELEGENCI”

Władysław Dębicki z Gdańska, drugi obok Wojtanka uczestnik spaceru po sosie, spaceru, który Łojas trzykrotnie przerywał, aby zabić Ormana. Dębicki i w „Śnieżce”, gdzie korzystał z czasów pełnopłatnych, i w prokuraturze przedstawił się jako księgowy. Dopiero przed sądem okazuje się, że to jego dawny fach, od dłuższego czasu jest już tylko hodowcą zwierząt futerkowych. Niemniej do prezentacji nawet urzędowej woli posługiwać się dawnym, wygodniejszym tytułem.



Przeciw Podhalu?

I znowu sędzia pyta:

— Dlaczego świadek nawet nie spojrzął na leżącego, czemu nie wstąpił po pomoc do jakiegoś domu?

— Bałem się. Jak kto własną siostrę bije, to i mnie nie oszczędzi.

— A iść z Łojasem już się świadek nie bał?

Na to nie ma odpowiedzi.

Inteligent (średnie wykształcenie) Dębicki, człowiek już nie pierwszej młodości, roztawiając się z mordercą, resztę nocy poświęcił na poszukiwanie jego siostry, którą poprzednio upijał. W tym samym czasie, kiedy Łojas wdarł się do izby Parowej w zamiarze dobić Ormana, Dębicki konferował z Wojtankiem, prosząc go o sprowadzenie do swego pokoju Heleny Łojas, dziewczyny starszej o 10 lat od 5-letniej córki eksksięgowego, która spała na drugim łóżku. Łojasówna nie przyszła, i Dębicki samotnie udał się na spoczynek, jak to już grubo wcześniej uczynił trzeci kompan Łojasa, w życiu prywatnym wspólnik Dębickiego od futerkowych interesów, Paweł Witkowski (także średnio wykształcenie).

— Musiałem pana doprowadzić do pensjonatu — zeznawał o Witkowski Wojtanek — bo był mocno pijany, nogi się pod nim gięły i trzeba było trzymać go pod rękę...

SPRAWA TYLKO ŁOJASA

Na tych zeznaniach sąd poprzestał. Przewód sądowy toczył się przeciwko samemu Łojasowi, jego zbrodnia została udowodniona; nie ulega żadnej wątpliwości, że ręce, które zabiły, były rękami Łojasa. Ale czy nie należałoby jeszcze zapytać: jaka jest istotna prawda o towarzyszach mordercy? Za czyje pieniądze pił Łojas, zarabiał majątek miesięcznie 450 zł, kto wraz z nim rozpętał wandalską awanturę i odcinął starającą się go powstrzymać siostrę, kto właściwie szczenił go (a ten fakt przewija się przez wszystkie, najbardziej nawet powściągliwe zeznania) bezustannymi okrzykami:

— Jasiek, nie daj się! Jasiek, szukaj tego, kto cię uderzył!

BEZ ODPOWIEDZI

Byłam obserwatorką całego procesu. Słuchałam wszystkiego — i notowałam wszystko. Widziałam spokojne, przygotowane twarze zeznających i za ich plecami spoczone ze strachu roztrzęsione ręce. To nie jeden Wojtanek porozumiewał się spojrzeniem z oskarżonym. Ale tylko jeden Chowaniec odwołał kłamstwo przynajmniej w części — bo on jeden spośród koronnych świadków nie odpowiadał z wolnej stopy. On jeden spodziewał się zajęcia w bliskiej przyszłości miejsce także na ławie oskarżonych.

Zapytuję: czy ci ludzie, którzy na przemian śmiejąc się i wyklinając, ramię w ramię kroczili z mordercą owej nocy, którzy cierpliwie przečekiwali kolejne fazy zbrodni — wolni są od wszelkiej odpowiedzialności? Czy prawo dysponuje sankcją karną tylko w stosunku do wykonawcy, do bezpośredniego zabójcy?... Jeśli te oto fakty spowodowały co najmniej zaskakującą, dosłownie w ostatniej chwili podjętą decyzję o zmianie trybu doraźnego na tryb zwyczajny, to jak wobec tego powinna wyglądać „kropka nad i” w tej sprawie?...

Łojas nie trudził się pamiętaniem, że to on wszczął zajście. Łojas wy-

trwale szukał człowieka, który je go uderzył. Czy na pewno nikt nie pokazał mu Ormana ze słowami „to ten, tego bij”?

PRAWDA SIĘGA PO NOWY TARG

Ale i drugą jeszcze, odrębną kategorię „obserwatorów” wyłonił ten proces. Mam na myśli ludzi, którzy nie pili z Łojasem: pili sami. Którzy nie czekali na drodze, aż kompan upora się z mordowaniem i wróci do towarzystwa: czekali za węglem, aż będzie można spokojnie pojechać do domu spać.

Kim są — wśród kilkunastu innych — świadkowie Sobolewski, Zagórski, Stefankiewicz? Przedstawicielami kierowniczych na ogół stanowisk w nowotarskim PZGS. Stanisław Wilczek jest obecnie wiceprzewodniczącym PRN w Nowym Targu. Przyjechali na zabawę samochodem, w licznej grupie: podobno nie dla wódki, podobno, żeby zjeść kolację i potańczyć. Dziwnie przystępne są ceny w Bukowinie Tatrzańskiej, skoro rachunek za gorącą kolację dla kilkunastu osób i pół litra wódki wyniósł 86 złotych... Mniejsza z tym. Założmy, że wszyscy byli trzeźwi. Podtrzymują to twierdzenie z naciskiem, który przypominam sobie, gdy siostra Łojasa zeznała, że ona jedna (nareszcie) zauważyła, kto uderzył krzesłem jej brata.

— To był gość z PZGS, znam go dobrze z widzenia, tylko nazwiska nie pamiętam. On tu już świadczył przed sądem.

Prawda? Oszczerstwo?... Nie wiadomo. Sąd nie dochodził tej okoliczności. Ale spośród bardzo na ogół nieszczerzych i bardzo stronniczych zeznań siostry oskarżonego — to jedno utkwiło mi jakoś w pamięci.

CENA STRACHU

Zeznania S. Wilczka i Romualda Stefankiewicza są bodajże identyczne. W panice skryli się obaj na ganek chałupy Parowej; stamtąd, przituleni do węgła, patrzyli, jak jedena napastnik znęca się nad człowiekiem, który przed chwilą prawie otarł się o nich wychodząc z mieszkania. Nie ostrzegł go.

— Dlaczego? — pyta obrońca.

— Bo był obcy, na zabawie go nie widziałem i ani mi przyszło do głowy, żeby go kto tknął — odpowiada Stefankiewicz.

— Skąd świadek wiedział, że to ktoś nie tutejszy?

— No, dowiedziałem się... na drugi dzień.

WTEDY JESZCZE NIE BYŁEM

Podobno Wilczek miał już później zawołać „ratujmy go”, ale wtedy z innej kryjówki padł głos rozsądka, który z miejsca ostudził tę niezbyt widac głęboką intencję:

— Panie, lepiej się nie mieszać... Ja też tak pomagałem i dostałem za to trzy lata...

Kiedy szosa opustoszała, nowotarscy goście (powtarzam: było ich kilkunastu) błyskawicznie ulokowali się w ciężarówce i pełnym gazem ruszyli w bezpieczne domowe zacisze. Nie wstąpili ani do miejscowego posterunku MO, ani — już w odległości kilkunastu kilometrów — do Komendy Powiatowej MO.

— I świadek jest wiceprzewodniczącym PRN? — zwraca się do Wilczka prokurator.

— Wtedy jeszcze nie byłem — pada pospieszna odpowiedź.

ANALFABETYZM I SŁAWA

Bukowina ma własny Dom Kultury — i jego 17-letnich bywalców, którzy zapomnieli czytać i pisać. Bukowina zasłynęła na całą Polskę kapitalnym zespołem pieśni i tańca, ale dla ludzi, którzy zjeżdżają tutaj przez okragły rok ze wszystkich stron kraju, często ważniejszym od uroków regionalizmu i gór staje się siedem (na dwutysieczną wieś) punktów sprzedaży alkoholu.



Helena Łojas, jak wszyscy prawie świadkowie z Bukowiny, starała się pomniejszyć, złagodzić winę Łojasa. Ale ją jedną usprawiedliwia w jakiejś mierze fakt, że jest s i o s t r ą.

DLA LUDZI PRACY?...

Robotnik, urzędnik najtrudniej zdobywa wczas na Podhalu. Krezusi o nieokreślonej profesji, meły spod znaku ciemnych interesów — przesiadują tutaj miesiącami. Czy Mazurkiewicz zaarrestowano w Zakopanem tylko przez zbieg okoliczności?...

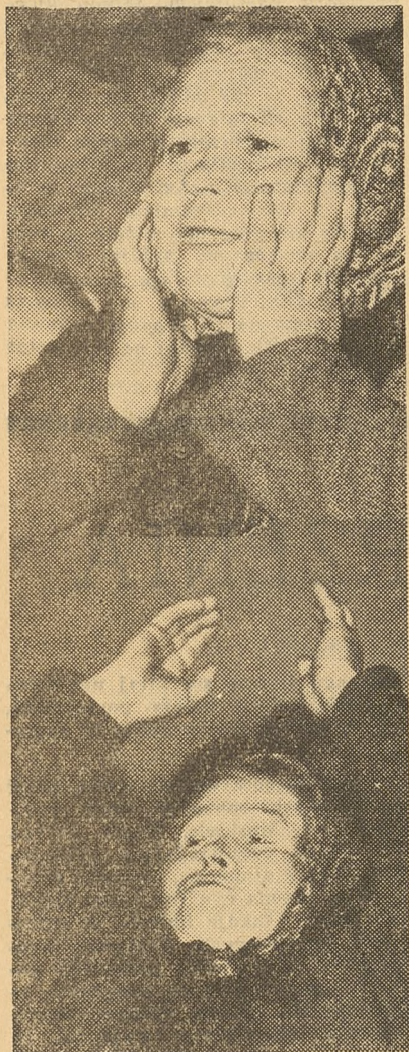
Pełnopłatni wczasowicze typu Witkowskiego i Dębickiego kupują pobyt w domach FWP za 500 złotych z groszami. Za jakie natomiast sumy piją sami i fundują hojnie wódkę na terenie wszystkich góralskich wsi?

Najpiękniejsze tradycje Podhala umiemy kultywować tylko w ich „eksportowych” formach. Strój, taniec, muzyka — na pokaz, na dzień ci sami ludzie, jak żyją co dzień ci sami ludzie, jakimi kategoriami myślą i odczuwają, co zapelnia ich wolny od pracy czas — o to nikt nie zapyta. Wspomina się niekiedy, że już i w Nowotarszczyźnie folklor zaczyna przysasać pod zalewem miejskiej „elegancji” i „cywilizacji”. Ale o r z e c z y w i s t y c h kontaktach Podhala z miastem, które najskuteczniej, najbardziej wpływowo reprezentują tutaj Witkowsy i Dębicy, o zgniliznie i rozkładzie moralnym nanoszonych przez całoroczny korowód rozpierzonych hord pseudowczasowiczów — nie mówi nikt.

A czy w bilansie zbrodni Łojasa nie widać przypadkiem pozycji choć w części tłumaczących, dlaczego tak źle się dzieje na Podhalu, dlaczego Orman musiał zginąć?...

Anna Strońska

Zdjęcia: A. Piotrowski



Maria Parowa odtwarza przebieg zbrodni. Pochłania ją wiosna, niezwykła rola świadka. Jednakże wielu momentów decydujących i ona „nie zauważyła” albo „już nie pamięta”.

cytujemy:

PRZEGLĄD

KULTURALNY

PRZEKRÓJ

POLITYKĘ

Zdarzenia ♦ Cytaty ♦ Zdarzenia

Tygodniowa prasa żywo zareago-
wała na problemy poruszane na IX
Plenum Partii. Znajdujemy w niej
sporo artykułów komentujących naj-
istotniejsze myśli zawarte w refera-
cie towarzysza Wiesława i uchwa-
le KC. Wśród tych zagadnień sprawa
konsolidacji partii, jej aktywizacji
zajmuje niepoślednie miejsce.

„Są dwie drogi do konsolidacji
partii — pisze na łamach „Prze-
glądu Kulturalnego” Włodzimierz So-
korski. — Formalna, na gruncie kom-
promisu, zamazywania stanowisk,
nieujawnionych różnic ideowych i
kombinacji kadrowych — i faktycz-
na, na gruncie określonej ideologii,
zdeklarowanej koncepcji politycznej,
historycznego zwrotu. IX Plenum
wybrało tę drugą drogę. Słuszną i
prawidłową. Drogę wytyczoną przez
zwrot w polityce, w partii dokona-
ny w październiku. Drogę nakreślo-
ną teoretycznie, w referacie i pod-
sumowaniu tow. Wiesława Gomułki
na IX Plenum”.

Okres między dwoma plenami ob-
fitował w liczne spory na temat re-
wizjonizmu i dogmatyzmu. Dyskusja
i praktyka, walka ideologiczna i
praktyczna działalność w szerokich
kręgach partyjnych i bezpartyjnych
błękała się niejednokrotnie w atmo-
sferze nieudolności, braku konkre-
tyzacji. IX Plenum rzuci jasny snop
światła na wiele zagadnień, których
nie skonkretyzowanie ułatwiło wielu
jednostkom szerzenie zamętu w szere-
gach partyjnych.

O rewizjonizmie pisze Sokorski,
że jest próba „przesunięcia kierunku
naszych poszukiwań z twórczej re-
wizji wielu ideowych założeń po-
przedniego okresu, i co jest równie
ważne, wypaczonej praktyki, na sta-

nowisko negacji podstawowych za-
łożeń socjalizmu. A więc pojęcia
walki klas, przodującej roli partii,
założeń materializmu dialektycznego
i dyktatury proletariatu. Słuszną
krytyką i demaskowaniem dogmatyz-
mu ustępowały czasem miejsca ge-
neralnemu wątpliwość w możliwości
naprawy błędów i dalszej realizacji
socjalizmu, w samą istotę marksiz-
mu-leninizmu”.

Istotą polskiej drogi do socjaliz-
mu jest niewątpliwie rewizja pojęć
i praktyk, na których zaciążył dog-
matyczny sposób myślenia w ideolo-
gii i administracyjne metody w dzia-
łaniu. Ale rewizja ta nie ma nic
wspólnego z rewizjonizmem, który
w samej swej istocie niesie rozbro-
jenie partii względem żywiołów an-
tysojalistycznych. Sokorski w swym
artykule zwraca uwagę na niebez-
pieczeństwo przybierające tu i ów-
dzie realne kształty prób podciąga-
nia pod pojęcie rewizjonizmu wszel-
kiej twórczej rewizji poglądów zgod-
nej z zasadami marksizmu. Próby te
wypływają z pozytyj dogmatyzmu i
konserwatyzmu.

„Z pozycji dogmatyzmu i konser-
watyzmu — pisze Sokorski — mie-
liśmy próbę nawrotu do starych po-
jęć i metod pod hasłem walki z re-
wizjonizmem. Tę próbę odradzania
się dogmatyzmu w nowej sytuacji
należało zdemaskować i odrzucić.
Należało oświadczyć wyraźnie, że
nie ma odwrotu od nowej linii par-
tii, ustalonej w dniach Października.
Taki jest warunek jedności i konsoli-
dacji partii. Taki jest sens IX Ple-
num”.

Sokorski podkreśla niezwykle
istotny miernik akceptacji polskiej
drogi do socjalizmu — akceptację
wszystkich jej elementów, ich nie-
podzielna jedność.

„...tow. Wiesław określił w swoim
referacie główne, podstawowe ele-
menty naszej własnej, polskiej dro-
gi do socjalizmu. Jest to nowy model
naszego zarządzania produkcją. Są
to rady robotnicze, jako swoista
forma udziału klasy robotniczej w
procesach produkcji i zarządzania
zakładami pracy. Jest to wreszcie
nowy program polityczny, jako nowa
własna forma kooperacji rolniczej.
Nie można opowiadać się za Paź-
dziernikiem przyjmując jeden z
tych elementów naszego programu.
Nie można walczyć o ideę Paździ-
ernika bez zmobilizowania wokół jego
wytucznych całego aktywu robotni-
czego i partyjnego. Program Paź-
dziernika stanowi całość. Można i
trzeba jeszcze dyskutować o wielo-
stronności wszystkich zjawisk, które
powstały w wyniku nowego układu
sił politycznych w naszym kraju.
Można i powinno się dyskutować o
pozytywach i negatywach nowej po-
lityki rolnej, naszego stosunku do
Kościoła, funkcjonowaniu rad ro-
botniczych i zakresu ich uprawnień.
Nie można jednak afirmować Paź-
dziernika i jednocześnie po kolei
kwestionować wszystkie jego pod-
stawowe założenia. Podobna meto-
da nie pozwala nam wyjść naprzód,
lecz przeciwnie ciągle ściąga nas w
tył, hamuje konsolidację i uniemoż-
liwia rzeczowe spojrzenie na nowe
zjawiska obecnego okresu historycz-

nego i ich prawdziwie marksistows-
ką ocenę”.

Warto ponadto dodać, że jednym z
istotnych elementów polskiej drogi
do socjalizmu jest właściwe, praw-
dziwie leninowskie rozumienie prole-
tariackiego internacionalizmu.

Niezwykle lapidarnie i celnie wy-
powiedział się w sprawie rewizjoniz-
mu i dogmatyzmu Edmund Osmań-
czyk na łamach „Przekroju”. Na py-
tanie pisma „Co Pan nam powie o
IX Plenum?” — odpowiedział:

„Według tego, co słyszałem, Ple-
num uznano za głównego przeciwnika
ideologicznego tzw. rewizjonizmu, za
głównego zaś przeciwnika w prak-
tyce partyjnej tzw. dogmatyzmu. Za-
tem należy się spodziewać, iż z tzw.
rewizjonizmem toczy się będzie
walkę ideologiczną (chyba drogą
twórczych dyskusji), tzw. zaś dogma-
tyzm zwalczany będzie w codzien-
nej praktyce, co daj Boże amen, ja-
ko że o rewizjonizmie, co prawda,
dużo się słyszy, natomiast dogma-
tyzm od lat codziennie się czuje”.

Aktywizacja szeregów partyjnych,
wzmoczenie ofensywności partii i siły
jej ideologicznego oddziaływania
w dużym stopniu zależą od przewy-
ciężania starych metod działania,
obciążonych administrativizmem. Pro-
blem ten omawia „Polityka” w swym
wstępniaku pt. „Aktywizacja i jej
kierunek” przy sposobności bliższej
konkretyzacji pojęcia konserwatyz-
mu.

Czytamy w nim:

„Konserwatyzm szeregów partyj-
nych — to znaczy nieumiejętność
stosowania politycznych metod pra-
cy przez szeroki aktywny partijną,
nieumiejętność, na której ciąży sta-
re nawyki i przyzwyczajenia — wy-
stępuje wszędzie tam, gdzie poszuki-
wanie nowych doskonalszych metod
działania jest siabe, gdzie bezrad-
ność towarzyszy każdemu poczyn-
aniu. Konserwatyzm to nie po prostu
wynik działania zlej woli członków
i aktywistów partii, to inercja i za-
stoj szeregów partii, uwarunkowany
całym zespołem czynników, wśród
których nieumiejętność pracy po no-
wemu, niewystarczające przyswoje-
nie sobie przez aktywny uchwali VIII
Plenum odgrywa istotną rolę. Kon-
serwatyzm to śmiertelny wróg partii
marksistowskiej, ograniczający jej
rewolucyjną rolę w przeobrażeniu
społeczeństwa. Dogmatyzm i kon-
serwatyzm odsuwają partię od mas,
rozbrajając ją — podobnie jak re-
wizjonizm”.

A dalej czytamy:

„Dotychczas było tak, że wielu
działaczy partyjnych terenu kwe-
stionowało zarzut konserwatyzmu
(formułowany niekiedy co prawda
w sposób złośliwy i generalizujący)
uważając, że nie odnosi się do nich,
ponieważ ich intencje są rewolucyj-
ne. Odrzucali przeto potrzebę rewi-
zji własnej postawy, nieustannego
konfrontowania metod i treści dzia-
łania z doświadczeniem, praktyką,
tak, by nie pozostać w tyle za roz-
wojem społecznym. Analiza dogma-
tyzmu i konserwatyzmu przeprowa-
dzona z dużą precyzją w referacie
I sekretarza na IX Plenum powinna
ich skłonić do głębszej na ten temat
refleksji”. (est)

A więc, słuchajcie. Najpierw coś
z waszej beczki, coś raczej na wskroś
optymistycznego. Freńność biologicz-
na naszego narodu, przysparzają a
nam rocznie pół miliona obywateli,
stawia nas pod względem przyrostu
naturalnego w czołowie narodów
świata. Ale już tak jest, że gdy ci
nowi obywatele jeszcze pozostają w
pieluszkach, inna, również spora ich
grupa, także co roku pragnie poszer-
zyć zalety armii pracy, pragnie,
jak to się mówi górnolotnie, włą-
czyć się w nurt budownictwa so-
cjalistycznego. Według danych, oczy-
wiście przybliżonych, w roku 1957
wyciągnę u nas rękę po pracę 597
tys. młodych ludzi. W roku 1962,
gdy w pełni wejda już w grę rocz-
niki powojenne, nasza gospodarka
będzie musiała wchłonąć grubo wię-
cej, bo 528 tys. A w roku 1965 aż
633 tys. ludzi.

Cyfrы imponujące, prawda? Ale
powoli, bez okrzyków entuzjazmu.
Czy wszyscy ci chętni do pracy tak
od razu znajdą zajęcie, czy będą mo-
gli wykazać się kwalifikacjami,
które uczynią z nich cenny zawodo-
wo narybek dla naszej gospodarki?
Powie ktoś, cóż za wątpliwości. A
nasze szkolnictwo zawodowe, a na-
sze szkolnictwo wyższe, czy daje
nam pod tym względem powodów do
obaw? Przecież w tej chwili mówi
się raczej o ograniczaniu przyjęć na
wyższe uczelnie, mówi się o likwi-
dacji szeregu szkół zawodowych.

Zaraz zobaczymy. Znowu niech wy-
powie się statystyka. W roku 1957
nasze szkolnictwo zawodowe i wyż-
sze, którego szybką rozbudowę już
nieraz szczylił się, powinno do-
starczyć nam blisko 109 tys. absol-
wentów, w roku 1962 — 113 tys., a w
roku 1965 — 116 tys. Również i te
cyfry mają tendencję do wzrostu.
Ale, jakież niewspółmierną do ten-
dencji wzrostu cyfr przytoczonych
poprzednio.

A więc; jak można od razu zau-
ważyć, ogromna większość poszuku-
jących pracy w najbliższych latach
aż po 1965 rok, który objeśliśmy tu-
taj ewidencją, znajdzie się na ryn-
ku pracy bez żadnych kwalifikacji,
dojdzie do wieku dojrzałego bez ja-
kiegokolwiek zawodu, bo po pro-
stu nasze szkolnictwo zawodowe i
wyższe nie będzie w stanie, nawet
przy najlepszych chęciach objąć na-
uką wszystkich, którzy tą nauką
powinni zostać objęci, którzy będą
chcieli się uczyć. Oczywiście, potrze-
ba nam i pracowników niekwalifi-
kowanych, ale czy aż tylu? Czy to
objaw pomyślny, gdy stosunek lud-
zi posiadających pewien zawód do
ogólnej liczby poszukujących pracy
stałe się zmniejsza, gdy w naszych
warunkach będzie on się wyrażał
wskaznikami dla roku 1957 — 27,4
proc., dla 1962 — 21,4, a dla 1965 —
już tylko 18,3 proc. Czy to objaw
postępu czy też zacofania. Chyba

tego drugiego, skoro w przodują-
cych krajach przemysłowych świata
z roku na rok wskaźnik ten nie ma-
leje, a rośnie.

Chcemy budować wielki prze-
mysł, chcemy podnosić naszą gospo-
darkę, powiadamy, że to jest moż-
liwe tylko wówczas, kiedy pracow-
nicy tego przemysłu i całej gospo-
darki będą stale podnosić swoje
kwalifikacje zawodowe i ogólną wie-
dzą. Co nas zatem czeka, jeśli na-
sze szkolnictwo w ciągu najbliższych
lat nie rozwinię się w sposób zasad-
niczy, jeśli nie przystosuje swej
struktury i profilu do potrzeb go-
spodarki i społeczeństwa? Czekają
to, że wśród ogólnej liczby ludzi
poszukujących pracy będziemy po-
siadać coraz mniej sił kwalifikowa-
nych, mimo że nasza gospodarka, a
w szczególności przemysł wołać bę-
da coraz donośniej głośm o
pracowników z kwalifikacjami.

Warto, by wzięli to sobie do ser-
ca nauczalnicy reformatorzy, spe-
cjaliści od reorganizacji szkolnic-
twa, by przypadkiem nie okazało
się już ponownie, że ta wymyślo-
na przez nich reorganizacja jest
wyrażnie na bakier z zasadą, że us-
tróji socjalistyczny jak ryba wody
wymaga od siebie społeczeństwa
światłego, wykształconego.

B. M.

ZDARZENIA

ZDARZENIA

DOKOŃCZENIE ZE STR. 2

1956 r. produkcja stali wyniosła 104
mln ton, w Europie zachodniej —
85 mln ton, w Europejskiej Wspólno-
cie Węgla i Stali — 57 mln ton,
w Zjednoczonym Królestwie — 21
milionów ton, w Europie wschod-
niej — 15 mln ton.

Produkcja stali na świecie wy-
nosiła w 1956 r. ogółem 233 milio-
ny ton.

W 1939 r. Związek Radziecki pro-
dukował 13 proc. światowej wy-
twórczości stali. W 1956 r. odsetek
ten wyniósł już 17, a do roku 1960
wzrośnie do 12. Produkcja stali w
Związku Radzieckim, w Chinach i
krajach Europy wschodniej stano-
wiła w 1929 r. 18 proc. globalnej
produkcji światowej, w roku 1956
— 24 proc.; w 1960 r. odsetek ten
ma wynieść 25,5.

Spożycie stali na głowę ludno-
ści wynosiło w Związku Radziec-
kim w 1956 r. — 235 kg, w Stanach
Zjednoczonych — 602 kg i w Sa-
arze — 274 kg, w ZSRR i krajach

Europy wschodniej łącznie zużycie
stali na głowę ludności wynosiło —
222 kg, a w Europie zachodniej ja-
ko całości — tylko 225 kg.

W Związku Radzieckim 80 proc.
zużycia stali przypada na artykuły
inwestycyjne, podczas gdy w Euro-
pie zachodniej analogiczny odsetek
wynosi 65, a w Stanach Zjednoczo-
nych — 55.

Radziecki import stali z Europy
zachodniej wynosił w 1955 r. za-
ledwie 50.000 ton, pochodzących
głównie z Francji. W 1956 r. import
ten wzrósł do 250.000 ton (New
York Herald Tribune).

GDYBY KIEDYKOLWIEK
MIAŁO TO NASTĄPIĆ...

„Ostatnio telewizja moskiewska
wysłała film stanowiący lekcję
obrony cywilnej na wypadek ataku
atomowego. Film nie miał cha-
rakteru sensacyjnego. W jego ko-
mentarzu wskazuje się, że „nic po-

dobnego jeszcze się tutaj nie dzia-
ło, tak jednak należy postępować,
gdyby kiedykolwiek miało to nastą-
pić”.

Film rozpoczyna się serią zdjęć
ukazujących spokojny dzień pow-
szedni w Moskwie. Nagle rozlega
się alarm, zapowiadający zbliżają-
cy się atak atomowy. Do akcji przy-
stępuje obrona cywilna, która opróż-
nia ulice i lekuję ludność w schro-
nach podziemnych. Następnie uka-
zuje się organizację pierwszej po-
mocy oraz konkretne posunięcia o-
bronne na terenie poszczególnych
domów. Komentator wyjaśnia, iż
zarządzenia te obowiązują we wszy-
stkich miastach.

Rząd radziecki co pewien czas
wskazywał już społeczeństwu na ko-
nieczność organizowania cywilnej
obrony przeciwatomowej, czynił to
jednak bez nacisku, prawdopodob-
nie pragnąc uniknąć paniki”. (As-
sociated Press).

TRZY PYTANIA

W związku z 700-leciem lokalizacji Krakowa postanowiliśmy różnym ludziom z różnych środowisk zadać trzy następujące pytania:

- 1) Jakie zdarzenie z historii Krakowa uważa pan za najdonioślejsze?
- 2) Jakie wydarzenie z teraźniejszości tego miasta uważa pan za najważniejsze?
- 3) Jakie ważne wydarzenie przewiduje pan w przyszłości?

OTC ODPOWIEDZI

Karol Szpalski, satyryk

- 1) Pobyt i występy kabaretu „Wagabunda” pozostającego pod moim artystycznym kierownictwem.
- 2) Tegoroczne występy „Wagabundy”.
- 3) Jak najszybsze powtórzenie występów „Wagabundy” w Krakowie na ogólne moje żądanie.

Tadeusz Nowakowski, robotnik ZBM

- 1) Za najważniejsze uważam założenie miasta — reszta to już tylko konsekwencja.
- 2) Trudno mi na to odpowiedzieć — dla mnie chyba narodziny czwartego dziecka.
- 3) Upadek miasta na skutek braku remontów i konserwacji budynków.

Piotr Skrzynecki z grupy „Piwnica”

- 1) Mój przyjazd do Krakowa w 1952 roku.
- 2) Naprawdę, nie wiem.
- 3) Nie przewiduję nic ciekawego, chyba tylko, żeby spełniło się moje marzenie o zmianie władz miejskich. Jeśli chodzi o marzenia, to chciałbym jeszcze dodać, że marzę, żeby było wesoło. I to w jak najszerszym znaczeniu.

Tadeusz Kwiatkowski, literat

W przeszłości.

Przeszłość jest dla mnie pojęciem względnym. Nie ufam podręcznikom historii preparowanym przez każdy rząd ad usum Delphini. Uczylem się kiedyś co innego, a co innego uczy się moja córka. Dlatego też nic sobie nie robię z zamierzalnej przeszłości i mało mnie ona obchodzi. Ale trzeba odpowiedzieć na pytanie. Jeśli więc zaistniał kiedykolwiek fakt powstania kabaretu „Zielony Balonik” — uważam, że było to jedno z najdonioślejszych wydarzeń historio-psychologicznych w tym mieście skorym do melancholii, zadumy nad bytem i narzekania nad emerytalnym losem. Kto pierwszy zaczął szydzić z ciemnoty, z pryncypializmu prowincjonalnego, z hipokryzji i drobnomieszczańskiej moralności uczynił dla Krakowa więcej, aniżeli którykolwiek z królów.

Obecnie.

Oczywiście „Zdarzenia”. Czegoś takiego jak Kraków Krakowem nie było.

W przyszłości.

Procesy sądowe, jakie zostaną mi wytoczone przez kilkadziesiąt osób, które ani chybi jako żywo rozpoznają swoje konterfekty w postaciach kilku bohaterów ostatniej mojej powieści pt. „Nie ma zabawy bez pana Władzia”.

Helena Bobińska, profesor historii

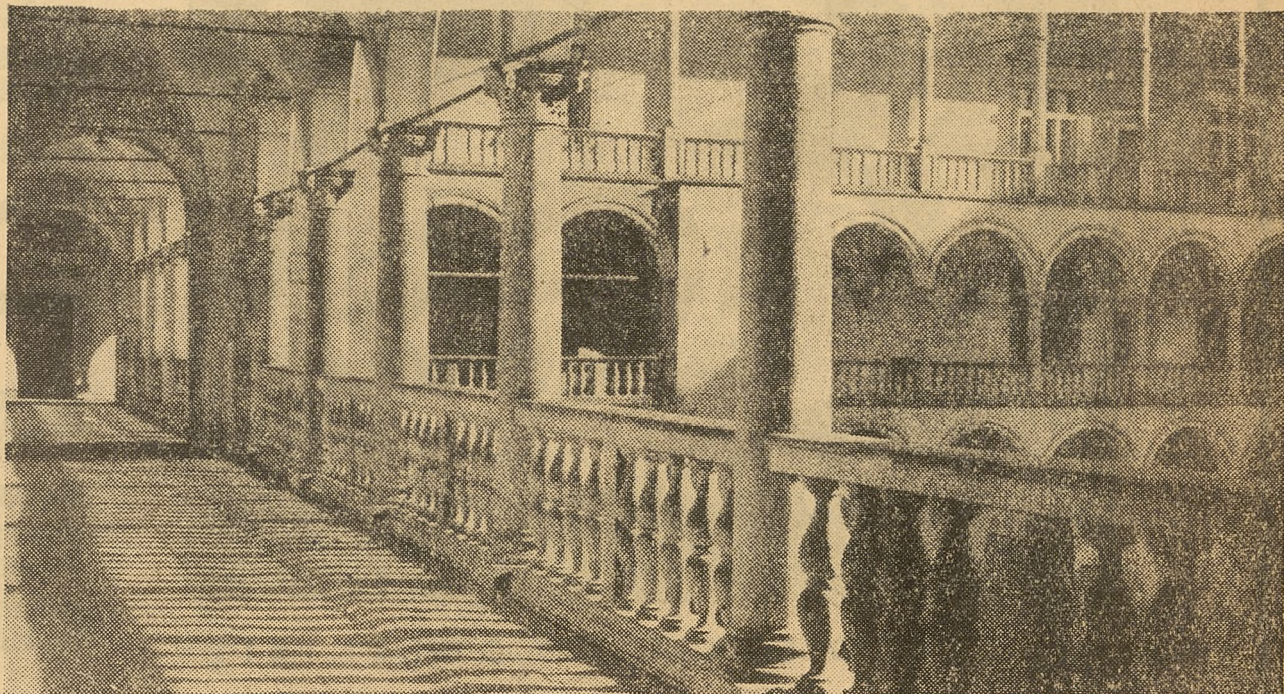
- 1) Reformę Kollątajowską Uniwersytetu Jagiellońskiego. Kollątaj dzięki swej rewolucyjnej odwadze zrobił z zacofanej średniowiecznej uczelni nowoczesny uniwersytet, oparty na racjonalnych założeniach. Z perspektywy czasowej można powiedzieć, że Kollątaj skutecznie walczył o zeświecczenie UJ.
- 2) Z teraźniejszości? Chyba wstrząs, jaki Kraków przeżył w okresie „Iuvenaliów”.
- 3) Powrót pewnych dostojnych środowisk krakowskich na pozycje racjonalizmu XX wieku.

Tadeusz Sliwiak, aktor, poeta

- 1) Zabicie Smoka przez Kraka, dzięki czemu ocalało podobno w Krakowie kilka dziewcząt.
- 2) Podniesienie zasiłków rodzinnych, wskutek czego będę otrzymywał 20 złotych więcej, pod warunkiem, że urodzi mi się drugie dziecko.
- 3) O przyszłości wolałbym nie mówić. Jak słusznie powiedział kolega Tadeusz Nowak „Prorocy już odchodzą”, a ja chciałbym jeszcze trochę zostać. Jeśli jednak konieczne pan chce wiedzieć, to myślę, że najbliższy numer „Zebry”.

Antoni Tomczyk, dorożkarz

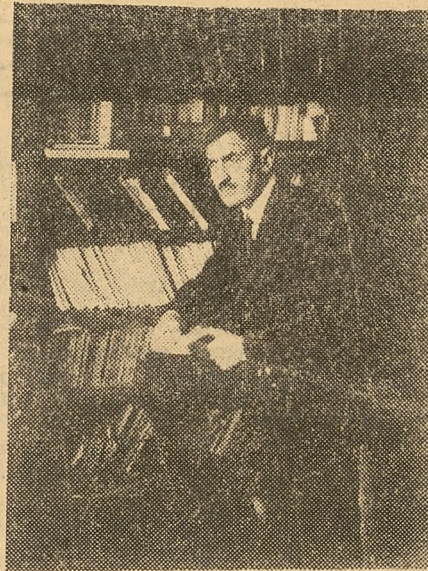
- 1) Napad Tatarów na Kraków, bo bez tego nie byłoby „Lajkonika”.
- 2) To, że wprowadzono „Lajkonika”.
- 3) Że trafią piątkę w „Lajkoniku”.



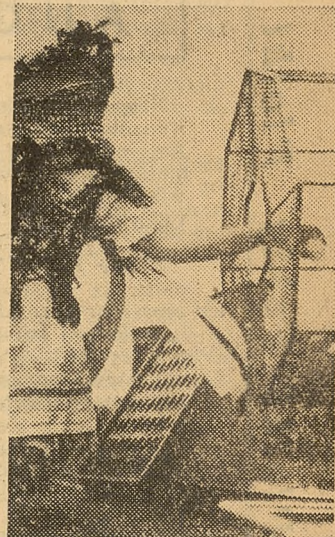
Nie od razu Kraków zbudowano.



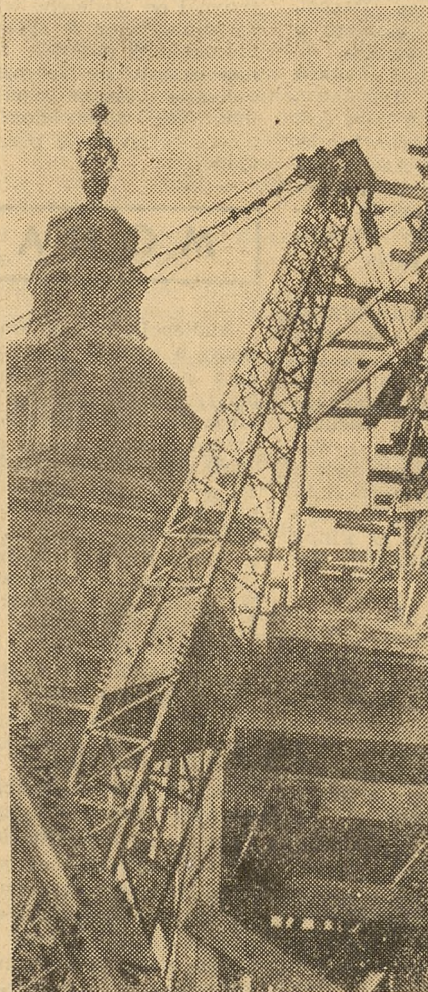
Człowiek Krakowskiego Odrodzenia — Kallinach.



Człowiek, który walczył ze staroświeckością Krakowa — Boy.



Czy „Lajkonik” udźwignie ciężar odbudowy?



Nie od razu Kraków zbudowano.
Jeszcze trudniej Kraków odbudować.

Prof. Kazimierz Stolyhwo, antropolog

- 1) Wydaje mi się, że nie ma ważniejszego faktu jak powstanie w Krakowie Uniwersytetu, najpierw za sprawą Kazimierza Wielkiego, a później Jagielly i Jadwigi. To było najważniejsze, co można było zrobić dla miasta, dla postawienia go na płaszczyźnie międzynarodowej.
- 2) Teraźniejszość to zbyt wąskie ujęcie i względne. Sądzę, że faktem, który najbardziej odbił się na losach miasta, było przeniesienie stolicy do Warszawy. Oczywiście było to konieczne ze względów geograficznych i politycznych, gdyż bez tego nie mogło być mowy o utrzymaniu unii z Litwą i ekspansji na północ i wschód. Oczywiście nie jestem przeciwnikiem Warszawy, mówię to w kategoriach historycznych.
- 3) Jak wynika z opracowań geograficznych, np. W. Nałkowskiego, Polska zajmuje centralną pozycję w środkowej Europie. Z tego wypływają różne konsekwencje handlowe, polityczne, komunikacyjne itp. Przewiduję na przyszłość dużą rozbudowę sieci komunikacyjnych zarówno lądowych, jak powietrznych, a przede wszystkim wodnych. Dla Krakowa ma to kolosalne znaczenie. Mógłby on bowiem dzięki połączeniom Wisły z Odrą, a dalej Dunajem — na zachód i południe, a przez Prypeć z Dniestrem na wschód — stać się ważnym ośrodkiem tranzytowym.

Prof. Włodzimierz Gruszczyński, architekt

- 1) Za najważniejsze uważam lokację Krakowa 1257 r., której wielkość założeń nie zbladła po dzień dzisiejszy.
- 2) Kolosalne i ujemne znaczenie dla miasta ma w chwili obecnej to, że nie wprowadzono koniecznych zmian w kierownictwie władz miejskich, takich zmian, które pozwoliłyby miasto, z jego pełną okolicą postawić w należytej skali.
- 3) Kiedy wreszcie nie będą się liczyć pieniądze i nasze miasto zostanie ustawione w swych XX-wiecznych możliwościach, jak na to zasługuje z uwagi na swą historię i kulturę — wtedy można będzie pomyśleć o takim Krakowie, który cały świat będzie spieszył oglądać.



PICASSO SZKIC DO GUERNIKI

WZGLĘDNY CZŁOWIEK

ANDRÉ MALRAUX

W serii „Wybitnych dzieł XX wieku“ ukazuje się wkrótce nakładem PIW-u wznowienie świetnej powieści Malraux, francuskiego komunisty, lotnika i doskonałego pisarza. „Doła człowieka“ jest powieścią o walkach chińskich komunistów o wyzwolenie swego kraju w r. 1927. Oto kilka fragmentów tej książki:

„Jeden ruch, a człowiek umrze. Zabić go — to nie; dotknąć — to właśnie wydawało się niepodobieństwem. A trzeba było uderzyć precyzyjnie. Spacy leżał na grzbiecie, po środku łóżka, po europejsku, ubrany tylko w króciutkie kałesony, ale pod warstwą tłuszczu nie widać było żeber. Czen musiał wżyć za wskaźniki brodawki jego piersi. Wiedział jak trudno jest wymierzyć cios z góry na dół. Trzymał wciąż pugił ostrzem w powietrzu, lecz lewa pierś była bardziej oddalona: poprzez tę satkę, chroniącą od moskitów, musiał zadać cios wyprzedzonym ramieniem, ruchem sierpowym. Przechylił pugił...”

*

„...Nie umiał schronić się przed sobą w innym stworzeniu, ale wiedział, jak się wywierać: miał opium.

Pięć gałek. Trzymał się od lat tej dawki, niekiedy z trudem, z bólem. Poskrobał głowę fałki: cień jego ręki przemknął ze ściany na sufit. Odsunął lampę o kilka cali, rozproszyły się kontury cieni. Przedmioty rozpraszaly się również, nie zmieniając kształtu, przestały odcinać się od niego, zeszyły się z nim w jakimś swojskim świetle, gdzie błogostan pomieszał wszystkie rzeczy...”

*

„— Czy pan chce, żebym zaśpiewała?
— Nie teraz.

Patrzył na jej ciało uwydatnione, a zarazem ukryte w morwowej szacie jedwabnej. Wprawił ją w zdumienie: według powszechnego zwyczaju, kurtyzana, zanim kładła się, śpiewała, gawędziła, usługiwała do stołu, lub przygotowywała fajki. Inaczej, to czemu nie poszukać prostytutek?

— Zapalić pan też nie chce?

— Nie. Rozbieraj się.

Przekreślał jej godność, wiedział o tym. Chętnie by zażądał, żeby rozebrała się do naga, ale na to daremnie by nalegał. Zostawił tylko jedno światło pod umbrą. Pomyślał: „Życie erotyczne, to upokarzanie własnej osoby, bezpośrednio w sobie, albo w kim innym, może w obojgu. To idea, najoczywistej w świecie...”

*

„Człowiek podniósł głowę, podciągnął się na łokciach.

— Łajdacy — zakrzyzczał — mordercy!

Podbiegł wartownik i kopniakiem pod żebra obrócił go na łopatki. Ranny umilkł. Wartownik odszedł. Ranny zaczął bełkotać. Katow nie widział go wyraźnie w mroku, lecz słyszał głos, wyczuwał co tamten chce powiedzieć. Rzeczywiście: „...nie zabijają, pakują żywcem do pieca lokomotywy...”

*

(Ranni komuniści, oczekując na spalanie żywcem w piecu lokomotywy, pragną zażyć przedtem ukryty cyjanek. Katow odstępuje swój cyjanek dwóm Chińczykom, na upiór obłąkanym z przerażenia.)

„— Pss... Suen... Połóż rękę na mojej pierś, cofnij, kiedy dotknę: dam wam mój cyjanek. Starczy absolutnie tylko dla dwóch.

Wyrzekł się wszystkiego z wyjątkiem tego powiedzenia, że starczy tylko dla dwóch. Obróciwszy się na bok, przełamał cyjanek. Wartownicy zasłaniali światło, otaczające ich chwiejną aureolą; czy nie zechcą się poruszyć? I tak nie dojrzy; Katow dawał ten dar cenniejszy od życia — nawet nie ciałom, nawet nie głosom, tylko tej ciepłej dłoni, leżącej na jego piersi. Dłoń skurczyła się jak zwierzę, oderwała się szybko od piersi. Czekal, naprężony jak cięciwa. I nagle usłyszał:

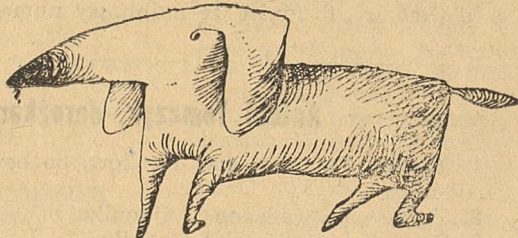
— Na nic. Spadło.

Głos zaledwie podbity trwogą, jak gdyby tak ostateczna, tak tragiczna katastrofa była niepodobna do prawdy i wszystko musiało się jeszcze wyjaśnić. Dla Katową było to również niepojęte. Niepohamowany gniew wybuchł w nim, lecz opadał natychmiast przed tą rzeczą nie do pomyślenia. A jednak! I po to dać, żeby ten dureń zgubił!

— Gdzie?

— Tu, przy moim boku. N'e mogłem utrzymać, kiedy mi Suen podał: ja też mam rękę poranioną.

— Upuścił oba — powiedział Suen.”



ANGLIA

Pewna Angielka uległa w czasie wypadku poważnym obrażeniom. Najgroźniejsze okazało się uszkodzenie systemu nerwowego, które sprawia, że p. Burwood może chodzić tylko do tyłu.

*

Hilary Belloc kandydował swego czasu na posła do parlamentu. Na zebraniu wyborczym powiedział:

— Jestem katolikiem. Staram się, o ile to możliwe, wysłuchać codziennie mszy. Oto jest różaniec. Staram się, o ile to możliwe, codziennie odmówić go na klęczkach. Jeżeli odrzucicie moją kandydaturę z powodu mojej religii, będę dziękować Bogu, że oszczędził mi hańby reprezentowania was w parlamencie.

Nastąpiła chwila zdumionej ciszy, a potem burza oklasków.

Belloc został wybrany ogromną większością głosów.

*

29-letnia Marjorie Jordan spędziła 15 tygodni uwięziona w piwnicy pewnego domu na przedmieściu Londynu. Uratowana dzięki znalezieniu w sąsiednim ogrodzie kartki, wywołanej pomocy, którą udało jej się podrzucić, opowiedziała, że została terroryzowana przez nieznanego mężczyznę i zamknięta w piwnicy, gdzie musiała dla niego wykonywać różne prace. Sprawa nie jest jeszcze dostatecznie wyjaśniona.

*

Agata Christie napisała sztukę teatralną pt. „Trzy ślepe myszy”. Recenzent paryski po wyjściu z przedstawienia powiedział, że jest to najmniej zrozumiała i najmniej sztuka, jaką widział. Jedyne to chyba wypadek. Kiedy oceniono w ten sposób jakiegokolwiek dzieło tej sławnej pisarki.

*

Wynaleziono w Anglii nowy sposób utrzymywania mleka w świeżym stanie i to przez cały rok. Mleko pasteryzowane poddaje się działaniu ultradźwięków, następnie wlewa do naczyń zanurzonych w słonej wodzie, gdzie następuje jego zamrożenie.

BELGIA

W czasie deszczu ryba bierze dobre, ale rybak moknie! Przemysł belgijski wyprodukował małe naczynia z plastiku, w którym można stać lub siedzieć nad brzegiem wody i który łatwo mieścić się w torbie rybaka.

*

Pawilon ZSRR na wystawie światowej w 1958 r. w Brukseli będzie w całości prefabrykowany w kraju. Po rozebraniu użyje się go jako stałego pawilonu wystawowego w ZSRR.

FRANCJA

Nagroda Giocondy jest przyznawana w Paryżu co roku kobiecie najbardziej podobnej do Mony Lisy. Członkami jury są najslawniejsi malarze francuscy.

*

Statystyka wykazuje, że największą sprzedaż samochodów sportowych czerwonych. Powód? Samochody włoskie, które mają za sobą najwięcej zwycięstw na torach, są malowane właśnie tym kolorem.

*

1600 turystów z ZSRR zwiedzi Francję w czerwcu br.

*

Dr Hensch, laureat nagrody Nobla, wynalazca cortisonu, powiedział: „Jest naukowym absurdem uważać, że tylko ziemia jest zamieszkała”.

*

„Sa roczniki festiwalów, jak sa roczniki win markowych“ powiedział pisarz francuski Maurice Pagnol, członek jury festiwalu filmowego w Cannes. „Filmy przedstawione do nagrody w r. 1957 stoją pod znakiem nędzy, nieszczęśliwych wypadków, płaczu, zabójstw, powstań i wojen”. Nic też dziwnego, że goście, którzy pojawili się tu, aby wypocząć wśród wspaniałego klimatu, uciekają z sal kinowych i szukają uśmiechu i radości życia na plażach, promenadzie, czy przyjęciach prywatnych.

*

W czasie festiwalu Curd Jurgens zaprosił na kilka dni do swej willi byłą żonę Evę Bartok, z którą (na te kilka dni?) pogodził się po 6-miesięcznym rozwodzie. Druga zakochana parą pod tym samym dachem była zeszłoroczna laureatka z Wenecji Maria Schell ze swym świeżo poślubionym mężem, reżyserem Horstem Haeschler, słynnym z nadzwyczajnego podobieństwa do ks. Filipa Edynburga, małżonka królowej Elżbiety angielskiej.

*

Jak podaje prasa francuska: „Najwspanialsza gwiazda Cannes jest Izolda Izwickaja bohaterka filmu „Czterdziesty pierwszy”, która nie pozwala się zdejmować fotografom inaczej jak w sukni i która — nie znając żadnego zachodnio-europejskiego języka — rozmawia z reporterami za pomocą kwiatów.

*

Pierwszy dzień festiwalu w Cannes. Satek transatlantyczny stoi zakotwiczony przy wybrzeżu naprzeciw białego pałacu, nad którym powiewają chorągwie 34 państw. 500 dziennikarzy, 6 członków akademii naukowych i literatury, gwiazdy ekranu, filmowcy. Nad pałacem balen w stylu 1872 r. Wyświetlany jest na specjalnym przedstawieniu, poza ustalonym porządkiem, film „W 80 dni dookoła świata”. Po filmie reżyser Michael Todd wydaje przyjęcie na

2000 osób. Oto jak Amerykanie reklamowali swój film, torując mu drogę do nagrody.

Lekarz francuski Yves Ciampi, obecnie reżyser, poślubił gwiazdę filmu japońskiego Keiko Kishi, bohaterkę jego filmu „Tajfun nad Nagasaki”. Jedynym słowem francuskim, jakie pani Ciampi wypowiedziała dotychczas było „tak” w urzędzie stanu cywilnego. Między sobą bowiem małżonkowie rozmawiali po angielsku. Japończycy oplakują utratę swej ukochanej gwiazdy.

MEKSYK

Na hotelu „Prado” pojawiło się takie ostrzeżenie: „Uwaga! Młode pary! Nie zapominać, że miasto Meksyk leży na wysokości 2.200 m!”

*

Został aresztowany pułkownik straży pożarnej Rafael Garcia. Otrzymał on niedawno właśnie wysokie odznaczenie za sprawne ugaszenie około 60 pożarów. Niestety jednak okazało się, że rozniecał on je osobiście wraz ze współnikami, aby umożliwić właścicielom spalonych domów otrzymanie premii asekuracyjnej!

MONACO

Audycja księcia Monaco z małżonką u papieża ujawniła daleko idące projekty Watykanu odnośnie dalszych losów marionetkowego państwa. Zainteresowanie Kościoła księstwem Monaco datuje się już od r. 1950, kiedy to zalecono ks. Rainiero, wi wybranie na doradcę duchownego franciszkanina O. Tuckera, który później doprowadził do małżeństwa z Grace Kelly, pochodząca z katolickiej rodziny. Z małżeństwem tym Watykan wiązał nadzieje umocnienia swych wpływów w tym światowym centrum rozrywkowym. Jednym z pierwszych zarządzeń ks. Grace było zniesienie połowań na gołębie, ulubionego sportu milionerów. Obecnie plany O. Tuckera, uważanego za Richelieu Monaco, idą o wiele dalej. W jego zamiarach leży uczynienie z Monaco międzynarodowego centrum katolickiego, siedziby instytucji i kongresów, na wzór Genewy, która jest centrum licznych organizacji protestanckich. Watykan pragnie tu także stworzyć swój port z własną flotą, przy czym zakłada się zlikwidowanie kasyna gry, co znów stoi w sprzeczności z interesami Onassisa, który jest właścicielem tego dochodowego interesu, a poza tym już dawno projektuje uczynienie z portu Monaco bazy dla swej floty tankowców.

ZSRR proponuje budowę kolei Londyn — Waszyngton przez Paryż, Moskwę i Ciesninę Beringa. Nad Cieśniną miałyby stanąć most długości 50 km.

*

Organ Komsomolu „Smiena” w numerze 7 rozprawia o wychowaniu na temat dobrego wychowania, form towarzyskich, elegancji itd.

A oto fragment listu jednego z czytelników do redakcji: „Lidia zaczęła mi coraz częściej robić wy-mówki, których nie robiła przedtem; że za grubo zawiązałam krawat, że nieprawidłowo przywitałam się z kobietą (pierwszy podałam rękę), że zapaliłam papierosa bez zezwolenia gospodarzy itd. Odpowiedziałam jej, być może zbyt osro — że jestem prostym człowiekiem, robotnikiem i że te konwenanse salonowe nie owole nie obchodzą. Lidia pewnego razu oświadczyła: „Wstydzę się za ciebie przed ludźmi. Jesteś po prostu czło-wiekiem bez wychowania”. To do-tknęło mnie do żywego; czy Lidia miała prawo tak powiedzieć? Czy to właśnie nie ona dziwiła się niegdyś, jak nadążam i pracować i uczyć się i tyle czytać?”

Odpowiedź redakcji: „...Wybaczyć, ale wasza odpowiedź przypomina prawie już zapomniane powiedzonko rosyjskich mieszczuchów: „My Ro-sjanie — jesteśmy prostym narodem, chlapiemy kapuśniak kierpcami” — powiedzonko, w którym jest tyle głupiego samozadowolenia, ile i o-szczerstwa pod adresem własnego narodu.

„Smiena” konkluduje: „W naszych komsomolskich organizacjach pa-trzą częstokroć na dziewczynę, która zwraca uwagę na swój wygląd ze-wewnętrzny, jak na niepoważną oso-bę. Czy każda taka dziewczyna za-sługuje na ironiczne spojrzenia? O-czywiście tak, jeżeli naśladuje „ko-ciaki”. I wówczas jej gusty zasługują na krytykę. Tutaj wyłania się bar-dzo ważne zagadnienie. Dlaczego mo-da „kociaków” rozpowszechnia się? Dlaczego „bażantom” udało się wy-wrzeć wpływ na pewną część mło-dzieży? Czy nie dlatego, że wkroczy-li oni w dziedzinę, którą komsomol-cy mało się interesowali, lub nie in-teresowali się wcale? Dziewczyna lub młodzieniec, posiadając pieni-ądze, pragnie się dobrze ubrać. Ale co kupić, jak użyć? W komsomolskich organizacjach mówi się zasadniczo o składkach, kółkach, obowiązkach — tylko nie o modzie! Wobec tego dzie-wczyna udaje się po radę do tych, k o „w kursie mody”. W wyniku tego pojawia się jeszcze jedna osoba u-brana pstro, jak papuga”.

FRANCJA

Silny wpływ USA i amerykańskiego „stylu życia” na Francję wzbudza niepokój dużego odłamu francuskich intelektualistów. Marcel Ayme, jeden z czołowych pisa-rzy francuskich twierdzi, że wpływ Ameryki grozi Francji rozkładem kulturalnym, politycznym i ekono-micznym. „Od kiedy Francja prze-dała się Ameryce, to jest od 10 lat, staliśmy się amerykańskim Alge-rem i to Algierem, który się nie bun-tuje”.

Paryski tygodnik „Arts” posta-nowił zbadać wpływ USA na Fran-cję i podsumowuje wyniki tych ba-dań na łamach swego pisma. Oto ciekawsze punkty:

Moda: W tej dziedzinie oraz w słownictwie potocznym wpływy a-merykańskie rzucają się szczegól-nie w oczy: strip-tease, kowboj-skie spodnie razem z nieznaną przedtem gwarą Broadwayu.

Malarstwo: Amerykanie kupują francuskie obrazy, ale sami nie ma-lują. Francuskie malarstwo abstrak-cyjne żyje wyłącznie dzięki Ame-rykanom.

Teatr: Teatr amerykański we Francji ponosi kompletną klęskę. Sztuki zza oceanu są w oczach Pa-ryżan „wulgarne, tematy prefabry-kowane, psychologia elementarna”.

Film: Wprawdzie dzięki filmom amerykańskim, po Paryżu chodzi o-koło 10.000 Jamesów Deanów i przynajmniej 10 Yul Brynnerów, to jednak francuscy filmowcy mają wiele podziwu dla amerykańskich osiągnięć w tej dziedzinie. Jeden z najzdolniejszych reżyserów francu-skich Alexandre Astruc twierdzi: „Amerykański film jest najlepszy na świecie. Dlaczego? Bo nie wy-czuwa się w nim tego co zabija film: pogardy autorów dla publi-czności i dla sztuki”, Jean Cocteau jest jednak przeciwnego zdania: „Hollywood to królewska rodzina, zdegenerowana małżeństwami w rodzinnym kręgu”.

Reklama: Amerykańscy agenci prasowi potrafią w ciągu jednego dnia zrobić z prostego zofera po-pularnego piosenkarza; Francuzi potrzebują dużo więcej czasu na o-swojenie się z takim szokiem.

Nauka: Możliwościami technicznymi i finansowymi przewyższa Ame-ryka Francję co najmniej 300 razy.

Religia: Wpływ USA na tę dzie-dzinę zupełnie nie istnieje. Francja nie potrzebuje takiej masy religij-nych książek jak Ameryka, gdzie biblię wydaje się stale w nowych nakładach, w kieszonkowych forma-tach, w comicach i piosenkach. A-merykanin pozbawiony moralnego kośca rzuca się na każdą książkę, która może mu dać poczucie bezpie-czeństwa i podpory duchowej.

Handel: W tej dziedzinie wpływy amerykańskie są zdecydowanie naj-silniejsze. Francuscy kupcy jeżdżą do Ameryki i przywożą stamtąd no-wą technikę sprzedaży, powiększa-ją wystawy, malują kolorowe re-klamy, instalują megafony. Oczy drobnych wytwórców zwrócone są na Amerykę.

W konkluzji „Arts” twierdzi, że wpływy zza Atlantyku zmieniły Francję tylko zewnętrznie; Ameryka uczy jak sprzedawać książki, ale nie jak je pisać, kupuje obrazy, ale ma-lują je Francuzi, siła oporu, „résis-tence” francuska jest nie do po-konania. Francja będzie zawsze jeść frytki, nugat, pić vin ordinaire, u-wielbiać Fresnaya i piłkę nożną, nie zastąpi im tego James Dean, baseball, rock'n'roll i coca cola.

Francja zawdzięcza Ameryce tyl-ko dolary i nie przyjmie nic wię-cej.

J.P.



Legenda

a rzeczywistość obrony Jasnej Góry w 1655 r.

Pod tym tytułem ukazała się po-mierina rozprawa znanego history-ka prof. Olgierda Górki (1837—1955), który pozostawił po sobie niedokoń-czone studium rewizjonistyczne „Przełom wojny polsko-szwedzkiej w latach 1655-1656”.

Prof. Górka podnosi i akcentuje następujące momenty:

1. Obrona klasztoru jasnogórskie-go w 1655 r., nazywana potocznie tu-

downą obroną i otoczona aureolą li-teracką w powieściach: „Kordecki” Kraszewskiego i „Potop” Sienkiewi-cza była faktycznie podręcznym epi-zodem na tle całokształtu sytuacji i wypadków tego czasu.

2. Legenda o przełomowym, zwrotnym znaczeniu obrony zrodziła się dopiero w dwa lata po niej, wskutek tendencyjnej relacji dowódcy obro-ny, przeora paulinów Kordeckiego w jego panegirycznym pamiętniku: „Nowa Gigantomachia”, dedykowa-nym już zwycięskiemu królowi Ja-nowi Kazimierzowi.

3. Mimo szwedzkiego przyczynku Wacława z 1905 r. dowodzącego, że Augustyn Kordecki poddał klasztor Szwedom i uznał protektorat króla Karola Gustawa nad Jasną Górą, historycy polscy nie tylko utrzymali legendę obrony Częstochowy, jako decydującego momentu dziejów pol-skich za Jana Kazimierza, ale za-gadnienie całej ówczesnej sytuacji rozwiązywali dalej z dopuszczeniem interwencji cudu.

4. Wszystkie relacje o bohaterskim i wprost cudownym przebiegu oblę-żenia klasztoru jasnogórskiego po-chodzą tylko z jednego „edynego” źródła, a mianowicie od samego Kor-deckiego i od samych paulinów.

5. Wyłącznym powodem wyprawy Szwedów na Częstochowę była gło-sna w całej Polsce fama o ogromnych bogactwach klasztoru; miała to być wyprawa typowo łupieska, bardzo szczipnymi siłami przedsięwzięta.

6. W czasie oblężenia, czy blokady Jasnej Góry w 1655 r. obraz Matki Boskiej Częstochowskiej nie znajdo-wał się w klasztorze.

tygodnik „Quick” — jest odkrycie lekarza niemieckiego dr Schmidta. Podczas próbnych doświadczeń z bombami przekonano się, że wybuch oraz promieniowanie zabijają wszyst-ko co żywe, z wyjątkiem alg — roś-linek żyjących w morzu. Algi zawie-rają w dużych ilościach enzym zwa-ny katalazą, który jak się przekona-no pochłania zabojece promieniowa-nie. Katalaza znajduje się również w organizmie ludzkim — szczególnie w białych ciałkach krwi. A więc — twierdzi dr Schmidt — organizm człowieka, porażonego promieniowa-niem, można oczyścić, dostarczając mu dużej ilości białych ciałek krwi, czyli leukocytów. Jednakże leukocy-ty przy procesie oczyszczania orga-nizmu szybko słabną. Musi się je w jakiś sposób ożywić. I tu z pomocą niemieckiemu lekarzowi przyszła... surowica słynnego rosyjskiego uczo-nego Bogomolca, surowica o pew-nych właściwościach odradzających organizm. Ostatnio dr Schmidt o-trzymał list od radzieckiego uczonego profesora Bagdasarowa, donoszący o podobnych doświadczeniach w Związku Radzieckim i potwierdzają-cy skuteczność metody leczenia „cho-rób promieniotwórczości” za pomocą białych ciałek krwi. Uczony radziec-ki pisze, że tym sposobem wyleczo-no już wiele osób.

(Jk)

7. Jasna Góra była dobrze zbudowa-ną i utrzymaną twierdzą, o wyjąt-kowo silnej artylerii, wystarczającej i wyszkolonej załodze i dobrze zaa-prowowowanej.

8. Kordecki w „Gigantomachii” sfalszował prawdę i dokumenty do-tyczące poddania klasztoru.

9. Klasztor przez cały czas bloka-dy uważał się za pozostający pod protekcją i władzą Karola Gustawa i w żadnej mierze nie solidaryzo-wał się z walką przeciw szwedzkie-mu najazdowi.

10. Na 48 dni blokady, czy tzw. oblężenia, wypada najwyżej 10—12 dni na działania wojenne, a resztę czasu wypełniły przewlekłe pertrak-tacje o wpuszczenie szwedzkiej za-łogi.

11. Kordecki bronił interesów kla-sztoru, a nie honoru i niepodległości swej ojczyzny.

12. Tzw. cudowna obrona Często-chowy nie miała w świetle wszyst-kich źródeł współczesnych widoczne-go wpływu na wypadki wojny pol-sko-szwedzkiej 1655—1658 r. Cała dziejowa rola tej obrony została ce-lowo fikcyjnie ujęta i zniekształco-na przez historiografię polską z dru-giej połowy XIX i pierwszej połowy XX wieku dla celów patriotyczno-fideistycznych.

Tezy prof. Górki są ściśle udoku-mentowane i mają całkowite pokry-cie źródłowe. Na tle dotychczasowej literatury przedmiotu i sądów pod-ręcznikowych brzmią wprost rewela-cyjnie.

C. L.

Czy jest nas za dużo?

FAKTY

W ciągu ostatnich stu lat zaludnienie świata wzrosło z 1200 milionów osób do 2400, co daje przeciętną przyrostu — 12 milionów osób rocznie. Ostat-nie zaś dziesięć lat przyniosło świa-tu aż około 300-ty milionowy przy-rost ludności. Czyli — przeciętna roczna wynosiła 30 milionów no-wych obywateli świata. Nie trzeba maszyn do liczenia, aby wykazać, że oznacza to dzienny przyrost lu-dności w liczbie 80 tysięcy osób. O-becnie dzienny przyrost określa się na blisko 100 tysięcy osób. Te licz-by jasno ilustrują potencjał rozrod-czy ludzkości w naszych czasach.

Nasi uczeni na ogół niechętnie odzywają się na łamach popularnych pism, uważając, że nie jest to dostatecznie po-ważna trybuna dla wygłaszania opi-nii naukowych. W ten sposób mię-dzy społeczeństwem a uczonymi i nauką wytwarza się przepaść, która w praktyce poczynić może wiele zła. Bez jak najszerzej popularyzacji zdobyczy naukowych i technicznych trudno w naszych warunkach myśleć o szybkim postępie gospodar-czym i społecznym. Jeżeli te słowa drażnią kogoś — to niech potraktu-je je jak przyszłowiowe uderzenie w stół. Niech nożyce się odezwą. Za-nim się jednak odezwą, proponuje-my Wam zapoznanie się z interesują-cą pracą uczonego amerykańskiego na temat przeludnienia świata. Czekamy z kolei na wypowiedzi na-szych uczonych oraz wypowiedzi niefachowców — dyskusja otwarta.

ZABIERA GŁOS LEE R. DICE
prof. zoologii uniwers. w Michigan
(Tekst zacytujemy z artykułu w miesięczniku „The Scientific Monthly” — zeszyt kwietniowy).

1. Przeludnienie i wojna.

Ludność przeludnionych krajów naciska na granice. Jeśli nacisk sta-je się zbyt intensywny może dojść do startu a nawet i do wojny z są-siadami. Jednakże przyczyny wojen są skomplikowane a nacisk przelud-nienia nie zawsze prowadzi do kon-fliktów zbrojnych. Wiele państw bardzo przeludnionych zupełnie nie wykazuje skłonności do walki ze swymi sąsiadami...

2. Bieda a przeludnienie.

Wiele krajów o wysokim przyroście naturalnym cierpi na szeroko roz-powszechnione ubóstwo i niski po-ziom życia. Kraje o małym przyroś-cie naturalnym — przeciwnie — na-ją wysoką stopę życiową. Niektórzy badacze przypuszczają wskutek te-go że: gdyby podnieść w biednych krajach stopę życiową to w kon-sekwencji spadłby przyrost natural-ny. W ten sposób rozwiązało by się sprawę przeludnienia. Szeroko roz-

powszechnione jest mniemanie, że wzrost uprzemysłowienia kraju przy-czynia się do spadku przyrostu natu-ralnego. Błędny jest jednakże ten pogląd, że bieda wspiera płodność, a dobrobyt powoduje zmniejszenie liczby urodzin. Przeciwnie gdy jed-zenia wbród a koszty życia niskie w stosunku do dochodów — liczba urodzeń wzrasta. W USA podczas kryzysowych lat trzydziestych liczba urodzeń zmniejszała się, podczas gdy w okresie prosperity lat wojennych i powojennych wzrosła i nadal kształtuje się na wysokim poziomie.

3. Środki zaradcze.

Aplikowanie metod ograniczają-cych liczbę urodzeń jest zawsze sku-tecznym sposobem. Ale praktyka o-graniczania liczby urodzeń, takiego ograniczania aby w kraju zacofa-nym gospodarczo doprowadzić do równowagi między potencjałem gos-podarczym a ilością ludności, wie-dzie do drastycznych zmian nie tylko w dziedzinie wytwórczości przemy-słowej czy w gospodarce, lecz rów-nież do zmian zwłaszcza społecznych i politycznych. Konieczne są prze-cięż w takim wypadku przemiany w wychowaniu, etyce społecznej i w

religii. Takie przemiany mogą wy-wołać niezadowolenie wielu ludzi. Nie łatwo zmienić ludzkie poglądy i sposób życia.

Pierwszym najbardziej podstawo-wym krokiem w kierunku niesienia pomocy zacofanemu gospodarczo krajowi jest wytworzenie równowa-gi między zaludnieniem a potencja-łem gospodarczym danego kraju. Poprawa w dziedzinie produkcji żywności i innych dóbr pierwszej po-trzeby to jednak tylko część pro-gramu naprawy. Badanie lokalnie przydatnych metod kontroli uro-dzin, rozpowszechnianie informacji o metodach antykoncepcyjnych, zmiana systemu wychowania mło-dzieży i badanie powiązań ekolo-gicznych między produkcją a kon-sumpcją — oto wielkie atuty w a-takowaniu problemu przeludnienia u samych jego źródeł.

4. Konieczność szerszych badań.

Trzeba uczynić znacznie wię-ję niż dotychczas dla zbadania ludz-kiego społeczeństwa. Precyzyjne, ilościowe badania potencjału gospo-darczego w stosunku do stanu kul-tury i poziomu życia to pierwsza ko-nieczność.

MY i ONI

Czytajcie najnowszy numer „Twórczości”. Rzadko zdarza się, by jeden numer pisma polskiego zawierał tyle atrakcyjnego materiału. I żeby tak z głową był skomponowany.

W całości poświęcony jest współczesnej kulturze francuskiej, i bez reszty wypełniają go Francuzi. Znajdziecie tam, czego dusza zapagnie: informacyjne szkice o francuskiej poezji i socjologii, o filmie i o teatrze, o życiu politycznym Francji współczesnej i o umysłowości przeciętnego jej obywatela, o krytyce i teatrze, a nawet felietonik o francuskiej prowincji. Znajdziecie ogromny arkusz przekładów poetyckich. I wreszcie — pozycje najciekawsze: zestawiamy na koniec — kapitalną rozprawę Sartre'a o stosunku egzystencjalizmu do marksizmu, piękny esej Camusa o postawie artysty współczesnego, oraz szkic Lefebvre'a o sytuacji francuskiej myśli marksistowskiej. Duży to sukces redakcji — zorganizowanie materiału tak obfitego i atrakcyjnego, że układającego się w rezultacie w skróciową monografię.

I te nazwiska. Największe nazwiska współczesnej myśli i literatury. A nie są to tylko przekłady, przedruki, pokarm z drugiej ręki, rewia wycinków z paryskich książek i czasopism. Większość materiału — poza poezją oczywiście — pisana jest specjalnie dla „Twórczości” i ukazuje się w niej na prawach pierwodruku. Ze tam ktoś pisze informacyjne artykułki — to jeszcze głupstwo, choć widnieją pod nimi nazwiska dość wybitne. Ale że największe sławy, w rodzaju Sartre'a i Camusa, ofiarują poważne swoje prace — o, co

tu gadać, jakkolwiek byśmy się bronili przed snobizmem zachodnim etc., młde to musi poglaskać naszą próżność. Miłe skutki Października! Na Zachodzie interesują się nami, poczytują nas za ważnych, czegoś się po nas spodziewają. W rozrachunkach lewicy liczymy się najbardziej. Niedługo była Polska przedmurzem chrześcijaństwa — dziś patrzą na nas jak na przedmurze lewicy.

Ale wróćmy do „Twórczości”. Rozprawa Sartre'a będzie zapewne szokiem dla naszych domorosłych egzystencjalistów. Cóż bowiem uważa się u nas za egzystencjalizm? Na najniższym pięttrze — brody, czarne swetry i rock and roll. Nieco wyżej — tj. nie u odbiorców, lecz w kołach zbliżonych do twórców „Przekroju” — jazz, który wyzwala najtajniejsze pokłady duszy współczesnej. Jeszcze wyżej — smutek, beznadziejność, bezwyjściowość, drecząca nudę powszedniego bytowania, jesienne narodowe pijaństwo. Wszystko, co ponure, jest egzystencjalistyczne. A tu nagle dostajemy do rąk tekst — piekielnie zawily, z heglowskich pojęć poczęty, na domiar — o zgrozo! — uważający egzystencjalizm za odmianę marksizmu! Rzecz traktuje nie o nudzie, nie o bólu istnienia, ale o jedności konkretnego i uogólnienia w historii, o konieczności wykrywania wielostronnych i subtelnych związków pomiędzy osobowością a procesami społecznymi! O, potężnie trzeba się wysilić, żeby to wszystko zrozumieć. U nas egzystencjalizm — to obyczaj, nastrój, atmosfera. A jak się okazuje, egzystencjalizm to myśl. Nie wystarczy przeżywać, cierpieć, boleć, chodzić z miną ponurą — trzeba głową pracować, budować pojęcia, rozumieć świat dookoła. Obawiam się, że po artykule Sartre'a w „Twórczości” — poważnie spadnie w Polsce liczba egzystencjalistów.

Wszyscy jako tako myślący humaniści nasi dobrze odczuwali, czego brak podręcznikowemu marksizmowi. Między

faktami jednostkowymi a schematem historycznego procesu niekoniecznie zachodziła sprzeczność, nie chodziło o zwykłe fałszowanie historii, lecz o wykrycie niedowładu samej metody. Gorzej, że między faktami jednostkowymi a schematem ogólnym historycznego procesu natrafiało się na próżnię. Wśród ogólników gubił się konkret, wśród cech powtarzalnych — jednostkowe. Cóż daje określenie Tomasza Manna jako pisarza mieszczańskiego — prawdziwe zresztą — skoro wiek nasz wydał całe mnóstwo pisarzy mieszczańskich? Rozważania Sartre'a są nader ciekawą próbą wypełnienia owej pustki między pojęciem ogólnym a indywidualnym zjawiskiem. I wstyd, że my, czytając przecież niedosyt metody, nie umieliśmy pogłębić jej sami. Dlaczego? Ponieważ upadła u nas kultura filozoficzna. Wszyscy na wszystkim się znają, ale porządnie, w terminologii filozoficznej zanalizować i opisać zjawiska nie umie nikt. Poza paroma starymi profesorami, którzy znowu nie rozumieją z życia. Wśród naszych intelektualistów wielu jest prawników i polonistów, a nawet ludzi bez studiów wyższych — filozofa nie znajdziesz ani na lekarstwo. Trudno uważać za takich wychowanków INS-u. Jeden jest tylko Kołakowski, a i ten się odchylił.

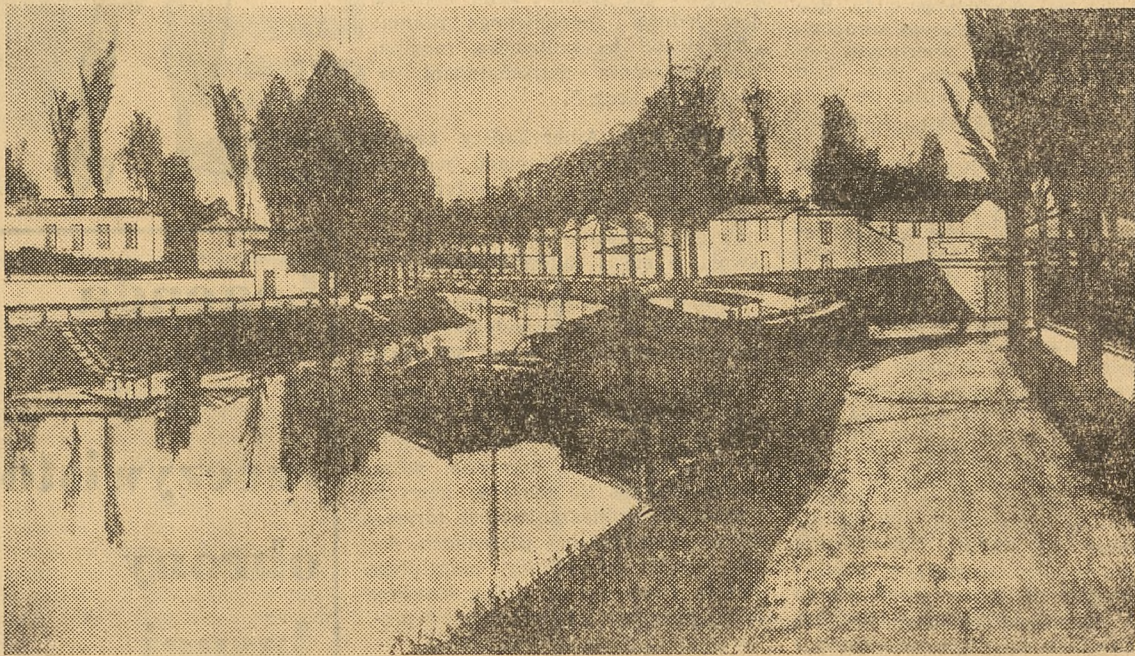
Przykreść. Przykreść tym większą, że tak bardzo znowu nie jesteśmy głupszy od tych Francuzów. Co dla nich jest przedmiotem spekulacji filozoficznej, dla nas bywa czymś tak obalnym, jak tylko własna skóra obolała być może. Ale oni są operatywniejsi. Szukają narzędzi — i znajdują je. A my, wiedząc niewiele mniej, błądzimy po omacku, improwizujemy na chybcika, belkujemy jak dzieci, nie mogąc własnym myśłem nadać pożądanej jasności.

Czytajcie 4 numer „Twórczości”, a zrozumiecie, czego brak naszym, przecież nie zastaliśmy w ostatnim roku, życiu umysłowemu.

Ludwik Flaszen



PICASSO



BUFFET

HISTORIE ODGRZEBANE

„Linia” i „Start” — „Obliczenia RYTMICZNE” czyli Polska Awangarda Filmowa

Niechętnie w kulturalnym Krakowie mówi się o sprawach filmu. Niechętnie? Raczej wcale się nie mówi. Ale, ale — musimy się porozumieć. Nie idzie tu przecież o obrazy wyświetlane w kinach, dyskusje toczące w klubach wyrastających jak grzyby po deszczu. Idzie o sprawy warsztatu. A przecież w tym Krakowie działały się rzeczy, których na dobrą sprawę nikt już dzisiaj nie pamięta, ale które wtedy, w latach trzydziestych głośno były nie tylko w naszym mieście.

Nazywało się to: „Polska Awangarda Filmowa”. W dwu skromnych pokojach inż. Szczepana Mysłowicza, które przeszły do historii filmu pod nazwą wytwórni „Lumen”, kręcono wtedy eksperymentalne, artystyczne filmy Jalu Kurka, Stefana i Franciszki Themersonów, Eugeniusza Cękalskiego, St. Lipińskiego i B. Radulskiego.

Owa grupa zapaleńców „Start” podjęła pracę wcale niełatwą — od scenariusza aż do montażu. Państwo wtedy nie finansowało imprez, toteż z każdym groszem, wydawanym z własnej kieszeni, trzeba było poważnie się liczyć — i chyba nie wtedy Jakubowska — najbliższy współpracownik krakowskiej awangardy, nauczyła się wydawać kilka milionów złotych na jeden nieudany film.

Wtedy to pisano w prasie: „Nie liczn tylko młodzi szaleńcy nie zrażają się przeszkodami, kupują taśmę i eksperymentują” („Kurier Polski”).

Polska, a właściwie krakowska awangarda filmowa pozostawiła kilka ciekawych filmów. Wymieńmy parę tytułów: „OR” (Obliczenia Rytmiczne) Jalu Kurka, „Eurpa” — abstrakcyjny film Themersonów, „Czerwien” Cękalskiego, czy „Głuche drogi” Radulskiego.

Najciekawszy dla nas — patriotyzm lokalny zawsze przecież działa — jest „OR” Jalu Kurka. — Film, który przysporzył wiele kłopotów ówczesnemu cenzorowi. Nie mógł on sobie poradzić z zamarkowaniem

na specjalnej metryczce treści filmu. Jak bowiem było określić treść obrazu, na którym nie ma ani jednej ludzkiej twarzy, a w momentach najbardziej nieoczekiwanych pojawiają się sceny takie, jak zerwanie liny. Cenzor wybrał z tego jak Salomon. Zagadnienie płynności czasu, przypadkowych równoległości, wszystkie eksperymenty formalne, określił lapidarnie jako schadzki w parku. Trudniej za to było zareklamować film. Jedyny fotos z gatunku „atrakcyjnych” zamieścił „Światowid”. Było to zdjęcie przyjemnych nóżek kobiecych.

Filmu nie widzieliśmy. Podobno kopia jego znajduje się w Paryżu. Zawędrowała tam na jeden z pokazów wymiennych, jakie awangarda krakowska urządziła wraz ze środowiskiem Rene Claire'a. Może dlatego lepiej oddajmy głos ówczesnym krytykom filmowym:

„OR” — Obliczenia Rytmiczne — film oparty na ciekawych skojarzeniach montażowych i na rytmicznej organizacji obrazów wizyjnych (IKC). „Może nie świetny, ale w każdym razie śmiały i ciekawy, o zdecydowanie awangardowym charakterze — na pewno w założeniu samym artystyczny” (Naprzód).

Tyle krytycy. — A publiczność? Publiczność nie przychodziła zbyt tłumnie na te eksperymentalne pokazy. Podobnie jak w Cricocie I gromadziła się na nich garstka literatów, malarzy, plastyków. Oglądali eksperymentalne filmy grupy krakowskiej, ale także awangardy czeskiej, angielskiej czy francuskiej. Kontakty sięgały zresztą jeszcze dalej. Eksperymentalne filmy polskie trafiały do Paryża — i nawet tuż przed wojną w 39 roku wysłane na taki pokaz pozostały tam — chyba już na zawsze. Dlatego dorobku krakowskich filmowców nie można teraz przypomnieć na ekranach.

Wspominając tradycje krakowskiej awangardy, atmosferę eksperymentu artystycznego, poszukiwań

twórczych — niepodobna oprzeć się czarnym myślom na temat przyszłości naszego filmu. Czy nie ma w tej chwili możliwości wskrzeszenia doświadczeń artystycznych awangardy? Tym więcej, że...

— Można by próbować ratować jakoś film polski. Kinematografia nasza przypomina całkiem stajnię Augiasza — mówi Jalu Kurek. Trudne to będzie, bo w Krakowie nie ma mowy o powstaniu jakiegokolwiek wytwórni. Nie stać nas na to. Ale uważam, że przyszłość mają kluby wąskiej taśmy. Ich eksperymenty — do tego wywodzące się przede wszystkim z artystycznej fotografii, z turystycznej pamiętki, mogą przemienić się w rzeczy ciekawe, nowe. A więc, przede wszystkim warsztat. Oczywiście, młodzi eksperymentujący w klubach wąskiej taśmy filmowcy będą mieli sporo kłopotów, jakie zawsze ma twórca podczas realizacji dzieła. Ich rzetelne umiłowanie filmu uchroni ich jednak chyba od kłopotów, które stały się już anegdota.

Podczas kręcenia „Kostki Napierskiego” — pamiętamy efemeryczny żywot tego kosztownego obrazu na naszych ekranach — wezwano do Łodzi z Poznania prof. Szczotkę jako historycznego doradcę. Pierwsze pytanie skierowane doń przez jednego z realizatorów filmu brzmiało: — Panie profesorze, czy nie mógłby pan dostarczyć nam fotografii Kostki Napierskiego.

Ponoć prof. Szczotka zrezygnował z miejsca z współpracy.

A więc — kończy autor i realizator „OR” — kluby wąskiej taśmy. Takie, jakie działają już w Katowicach i u nas. Ich eksperymenty już teraz odbiegają daleko od powszechnej manii filmu polskiego. — Epigońskiej pasji naśladowczej. Dajmy im trochę reglamentowanego sprzętu, pełną swobodę i prawo do błędów, a może na tej drodze narodzi się u nas film artystyczny.

(ig)



SKARB KAPITANA MARTENSA

— nowy, b. słaby film polski. Tylko zdjęcia na poziomie. Jedno zamieszczaemy powyżej.

W połowie stycznia albo Michał Bańka naprawdę poczuł się chory — jak to zgłosił w raporcie dziennym — albo zerwał ze swoją kolorową narzeczoną. Fakt, że zaniechał zapalczywego szturmowania o wyjazd do miasta, i kolej przypadła parze szoferskiej Stern-Cwojka. Mieli pojechać do Bagdadu po mąkę, konserwy i warzywa, z uwagi na wielką ilość zakupów — trzytonówką, i pojechali.

Tuż przed samym miastem, za mostem na Tygrysie, a przed Łukiem Tryumfalnym zdarzył im się niefortunny wypadek. Jechali za pociągami beczkowozów z ropy, w tempie za wolnym jak na temperament szoferski Józka Sterna, który akurat prowadził i w pewnym momencie zdecydował się kolumnę wyprzedzić. Ale kolumna była długa, a ich wóz nie dość szybki, aby od razu się z tym załatwić. W ten sposób jadąc łeb w łeb i zatara-sowując sobą całą drogę, zbliżyli się do zakre-tu. Stamtąd wyskoczył nagle samochód osobowy. Stern miał jeszcze nadzieję, że wywinie się przed maskę ciągnika, ale zobaczyw-szy, że za późno, wskoczył nogą na hamulec, a ręką — nie wiadomo, świadomie czy nie-swiadomie — wpakował tylny bieg. Chrobotło, a równocześnie zapiszczały hamulce i opony osobówki naprzeciw. Dotknęli się zderzakami, tylko ty e, a kolumna beczkowo-zów z hurkotem przejechała obok nich.

— Wysypałem skrzynię biegów — powie-dział Stern spocony jak mysz i wysiadł na chwiejących nogach.

W końcu świat jest mały. Al Rashid mała, a im sprzyjało szczęście. Kto siedział na mo-tocyklu przed jednym z bazarów, kołysząc się nogą oparty o krawężnik i rozmawiając z mulat-ką w bananowej sukience? Ich znajomek, ku-rier z 1. Dywizji. Opowiedzieli mu o swoim wypadku, a gdy ich zapewnili, że jeszcze przed wieczorem będzie wiedziało o tym ich do-wództwo, i niech czekają na wiadomość — pewnie jutro — tam gdzie śpią, w warsztatach samochodowych na podwórzu, ostatni ciężki kamień spadł im z serca. — I jeszcze jedno. Żeby Wojtaszek dawał jeść jaszczurowi. On już wie, co mu potrzeba.

Obiad zjedli leciutki, złożony z baraniny w pomidorach i piwa w jakimś barze na bocznej ulicy, i teraz — otarli brody z piary — do nich należał świat. Trzeba pomyśleć o jakimś kinie.

Obejrzeliby już poprzednio fotosy dwóch bar-dzo obiecujących filmów na Al Rashid — „An-dy Hardy private secretary“ i „Strike up the band“, tak że ze spędzeniem popołudnia nie będzie kłopotu.

Przy kasie pierwszego kina „Alladyn“, wielkiego pałacu filmowego urządzonego na wzór europejski, nie było tłoku i Cwojka po-suważąc się bezmyślnie za kilkorgiem osób, spoglądał na oświetloną szklaną tafelkę nad boksem, oznajmianą — Weekly Review — i czy jeszcze długo? Żeby się nie spóźnić na początek obrazu. Stanąwszy przed okienkiem zobaczył dwie kobiece ręce złożone na ksią-żce biletowej, wypiegnowane i przede wszystkim — białe. Zaintrygowany tym zaj-rzał pod okap: — *First floor, two* — pokazał na palcach.

— *S'il vous plait.*

— *For two gentlemen in uniforms* — dodał, rozciągając zdanie i uśmiechając się konfi-dencyjnie.

— *Oui, oui, je vois. Amusez vous bon.*

fotosy na ścianach, a kasjerka z cukierkiem w ustach czytała książkę.

Bardzo śmiesznie wypadło to ich nawiąza-nie rozmowy. Ona, nie zupełnie zrazu odkła-dając lekturę, robiła coraz bardziej okragłe oczy, zdziwiona ich uporem i męską kokiete-rią posługującą się zwrotami z rozmówek ho-telowo-wojażowych w języku angielskim, tak dobrze znanych w kompanii saperskiej za-miast słownika. Rozumiała angielski, ale mó-wiła tylko po francusku. Cwojka i Stern śłu-chali jej z wytężeniem, patrząc na siebie i wybuchając równocześnie radosnym śmie-chem, jeżeli im się udało pojąć o co chodzi. — *Oui, oui, oui* — gęsto krasili swą kolonial-ną angielszczyznę — *tak, ach to świetnie!* — Francuzka rozpedziła się i zaczęła szczebiotać szybciej. Nie tak prędko, mademoiselle, bo dajemy słowo — *nem tu dum. Slower, slower, miss, miss...* Wyludzili, jak jej na imię i naz-wisko — Lilianne Cochinet. Piękne imię. I sa-mi się przedstawili dodając, że są Polakami. — *Charmant* — powiedziała Liliana, podobało jej się to, że są Polakami. Tymczasem znowu zaczęła napływać publiczność i wypychać ich sprzed okienka. W krytycznym momencie całkowitego rwania się rozmowy Cwojka zdołał jeszcze zapytać, o której godzinie kończy ona pracę i — gdyby wówczas przyszli i po-prosili ją na mały aperitif, czy przyjąłaby to zaproszenie? Liliana Cochinet odpowiedziała, że skoro chcą ją odprowadzić do domu, to owszem — tu się ich intencje cokolwiek roz-miń. Ale dodała zwracając się bardziej do Cwojki, którego poznała pierw: — *Vous etiez charmant, Antoine. A bientôt.*

W doskonałych humorach wyszli z westybu-lu i ponieważ pozostało im jeszcze sporo cza-su, za-żeli do kina położonego nieopodal na drugi film: „Strike up the band“.

Ale tam nie dotrwali do końca, obawiając się spóźnić i rzeczywiście w sam czas powró-cili do „Alladyna“, o pogaszonej już neo-nach i półświatłach w przedsionku. Panna

Teraz przemylkali się popod arkadami, od-dzielającymi cebulasto sklepione podziemie cienkimi kolumnkami od ulicy. Musieli tro-chę podskakiwać, by iść w rzędzie między piramidami tu i ówdzie wystawionych skrzy-nek po piwie i owocach. To im znowu dało powód do śmiechu, który nie nie kosztuje, i kiedy w pewnym momencie Józek Stern, zawsze bardzo przytomny, popchnął dziew-czynę w kierunku wejścia zawieszzonego ko-tarą z paciorków, nie cofnęła się, tylko stojąc już w środku rzuciła za siebie: — *Que faites vous?*

— *Un petit café* — odpowiedział jej z ukło-nem, — *Voilà.*

Rzeczywiście znaleźli się w starry arabskiej kawiarence, pachnącej miodem, wanilią i ka-wą gęstą jak smoła. Lokal niezupełnie był je-szcze wyludniony, w pierwszym pokoju czte-rech szachistów głowiło się nad grą, a w dru-gim, gdzie było mniej lepkie i bardziej przy-tulnie, przy rozstawionych stolikach, ka-ty z lampką pod abażurem, siedziały trzy para-i wpańzone w siebie, z palcami zapalcionymi w uścisku. Zupełnym przypadkiem było to trzech mulatów w jasnych garniturach, o kę-dzierzawych lekko oszroniałych głowach, w towarzystwie zupełnie młodych dziewcząt. Dziewczyny gięły się pod imperatywem mę-skiej perswazji, prowadzącej stąd bezpośred-nio do łóżka.

— *Très drôle, très drôle* — powiedziała Li-liana siadając.

— *Are you first time in such a café?* — zapytał Antoni.

— *Oui. Les dames ne frequentent pas au bistros ici.*

Zaraz za nimi zjawił się mały, brunatny kelner w pomiętym kitelku, ze smutną miną kupca, który ma już niewiele do sprzedania. Okazało się jednak, że sprawy nie stoją tak źle. Wnosił sukcesywnie i zastawił im stoł apetycznymi porcjami lodów pistacjowych, zielonych jak czysty malachit wyściśnięty z tuby, rachatlukum w pudełkach, wodą Col-lington and Wurmser i orzechami w miodzie. A na koniec — to im obiecał i polecił — po filiżance kawy dla każdego.

Od tej słodkiej uczy wkrótce zaczęło ich piec w gardle. Liliana piła dużo wody, a Cwojka Antos zanurzając łyżeczkę w idealnie rozartym kremie pistacjowym znalazł wre-szcie temat do nawiązania serdecznej rozmow-y. Powiedział nabierając lodów, że on sobie chowa jaszczura, a dragonet, pani rozumie słowo dragonet? — który ma powłokę dokła-dnie tej samej zielonej barwy, co te lody.

— Oh, — spojrzała na niego z zaciekawie-niem.

— *Ma takie krzywe łapki z trzema palcami u każdej i mordkę jak...*

— Oh, — przerwała mu — proszę nie mó-wić dalej, bo przestanę jeść.

Odwzajemnił jej spojrzenie wzrokiem peł-nym niedowierzania i wyrzutu.

— A, niech pani tego nie mówi. Dlaczego? On jest... he is an excellent guy, byczy facet. Chowam go już trzy miesiące i chodzi za mną jak pies.

— *Możliwe* — odpowiedziała, oczywiście po francusku, — *ale rozmowa o płazach po-woduje u mnie niewyjemne taskotanie w gardle. C'est ça, eh?*

Zasmiali się równocześnie z tego, że tak zabawnie uciła temat, który — znając ich doświadczenia obozowe — zapowiadał się na długo. Zaczniemy więc z innej beczki. Józek Stern nawiązał do ich prac wojskowych, sa-perskich, i to z pozycji strategicznych, a nie — drugiego kierowcy, myjącego silnik, żeby mademoisella wiedziała z kim rozmawia. W tym celu wyjął ołówek z kieszeni na pier-siach, usunął dwa talerzyki sprzed siebie i zaczął jej rysować na marmurowej płycie słynne Baileyowskie kratownice. Czy ona wie, do czego one służą?... Otóż do budowania mostów — od jednej strony, od jednego brze-gu. Na przykład między rzekę, której drugi brzeg jest opadowany przez nieprzyjaciela. Wmurowuje się pierwszy element... — T s, t s, t s, très intéressant — (Liliana spojrzała, jaki udział w tym bierze jej drugi partner — Antoine)... osadza się go w żelbetonie, in armoured concrete, compre-nex vous? — O u i, o u i. — Teraz podjeżdża samochód z jedną podłużną kratownicą, przypominającą wyglądem prześro mostu kolejowego, tylko znacznie lżejszej konstruk-cji. Opuszcza je z platformy, stawia i zaczepia dwoma bolcami o dwa uszaki wystające z podmurówki, comprenez vous? — O u i, je comprends tout — kładzie, i wtedy bolce same skracają się na fest, par-don, in a very strong construction. Następnie zarzuca się kratownicę falistą blachą i pod-jeżdża drugie auto i montuje następny ele-ment, i tak rośnie most... — T s, t s, t s,

(Ciąg dalszy na str 11)

JASZCZUR I LILIANNE

— *Ano wysypałeś* — potwierdził Cwojka ruszając lewarkiem.

Z limuzyny wypadł szofer Arab w liberii i chciał Sterna oklinać, ale zobaczywszy żoł-nierza schował się z powrotem, cofnął wóz i gwizdnąwszy tylko z pogardą dmuchnął im z rury wydechowej i pojechał.

Stali po lewej stronie i skrobali się po głowach. Tryby poszły jak sucharki, nie ma się co ludzi. Należało wóz zepchnąć na prawo. Uczynili to z mozołem, przyzywając do pomo-cy jakiegoś Kurda, który szedł obok swego jucznego osiołka, i już po tych kilku minu-tach zgrzali się jakby po długiej i ciężkiej pracy. Dzień był parny, deszczowy, z ziemi wiało gorącym chlebem. Stern podniósł mas-kę, zaczął kombinować z wodzikami, ale po bezowocnych próbach uruchomienia samocho-du na którymkolwiek biegu urzadzili tak: je-den z nich zostanie przy wozie, a drugi pójdzie szukać warsztatów mechanicznych, żeby ich napróżd przyholowali, a potem wzięli się do naprawy uszkodzenia. Został Stern, a po-szedł Cwojka.

Och, jak szoferowi trudno chodzić piechotą! Zanim doszedł do Łuku Tryumfalnego, już go sobie z daleka, na płaskim polu pooglądał i zbryzdził. Po co taki kłoc stoi? Co za tryumf na nich? Ni to stylowe, ni nowoczesne, z je-dną niefunkcjonalną bramą, z dwiema grania-stymi wieżami szachowymi, z palisadką na gó-rze i trójką okien po każdej stronie. Ale wie-dział, że tedy jest bliżej do śródmieścia i przeszedł popod Łukiem. Dobrnąwszy do pryncypalnej Al Rashid, zaczął przytywać wśród przechodniów. Skierowali go prawie w drugi koniec ulicy i potem w bok, ale oka-zało się, że fałszywie. Najlepsze i prawie je-dyne warsztaty znajdujące się opętane dwie mile stąd. Chodził przeszło półtorę godziny i czuł już zupełną maź w butach, kiedy do-brnął nareszcie do takiego kierownika w kitlu, który powiedział, że skrzynia biegów do Au-stina owszem, znajdzie się, ale trzeba poszu-kać, i to potrwa trzy albo cztery dni.

— *A niech was wszyscy diabli porwą, ró-bcie co chcecie, choćby to miało trwać tydzień. Dajcie przede wszystkim hol, bo stoimy na drodze.*

Ułożyło się jakoś, przyciągnęli ich znad Ty-gryszy, i kiedy po następnych dwóch godzinach znowu w dwóch, ale już bez wozu, który stał w warsztatach, znaleźli się na Al Rashid, życie przedstawiło się im ponownie. Ostatecznie mogli się rozwalić zupełnie, a odszkodowanie za piękną limuzynę odbiłoby się nie tylko na skarbie Jego Królewskiej Mości Jerzego VI, ale również na nich — paka; pewne, jak dwa a dwa cztery. A tak — jedna skrzynia? Fajdzie na normalne życie.

Trapiło ich tylko, jak dać znać w kompanii o wypadku i uprzedzić o d'lugiej nieobecności, która może wyglądać na dezercję. Poza tym prowianty są potrzebne, niechby przysłali in-ny wóz. Szukali i nie bardzo jeszcze szukali koszar jakiejś jednostki angielskiej, żeby tam rzucić odpowiedzialność za zawiadomienie kur-tuku. Spychali tę decyzję na wieczór, bo taki obrót sprawy mógł być połączony z ja-kimiś nieprzyjemnościami i ograniczeniem wolności. A nie decydując się jeszcze na nic, chodzili sobie na pełnoprawnych papierach po promenadzie i mogli oglądać wystawy, zaczy-piać dziewczę a i co sto kroków wstępować na kawę lub lody. Szlifowali bruki w ten sposób, mimo upału, do trzeciej po południu.

Przyjął bilety, zapłacił i wypchnięty deli-katnie przez następną osobą w kolejce musiał uściąć pod ścianę. Stamtąd, wierząc się ze swego wrażenia Józki Sternowi do ucha, nie spuszczał jednak wzroku z szyby w alu-minowej oprawie i zwinnym w manewrowa-niu rączek kasjerki.

— *Jakaś bardzo ładna i miła dziewczyna* — powiedział. — *Z Paryża. Skąd ona się tu wzięła?*

To sprecyzowanie miejsca jej pochodzenia było już czystym wymysłem, co Józek Stern od razu przywoździł.

— *A może z Reims albo Algeru? Ale zaraz, zaraz, niech ją ją zobaczę, czy masz dobry gust?*

W tym momencie dwoje oczu granatowych i błyszczących, wraz z czołem jasnym i gład-kim, obniżyło się w okienku i skrzyżowało z ich spojrzeniem. Dziewczyna uśmiechnęła się.

Cwojka podniósł rękę i poruszył palcami gestem porozumienia, rzecz można, że jego ręka sama wykonała ten ruch, a odpowiedź przyszła natychmiast, leciutkim skinieniem, po czym oczy dziewczyny padły na pulpity i ręce zajęły się wydawaniem komuś reszt.

— *Ty — powiedział Antoni tracając towa-rzysza kolanem — zawarłem znajomość.*

— *Zawarliśmy znajomość* — poprawił go Stern — *nie zechcesz chyba jak pies wziąć kość pod siedzenie i warcząć.*

— *No chyba. Masz u mnie jak w banku... Wchodźmy! — przypomniał sobie — a potem warto się zastanowić. Powróćmy do niej po filmie. Patrzenie, jaka przyjazna — powiedział biorąc kolegę pod łokieć — i zupełnie biała. To już przyjemność po tych wszystkich sma-głościach, nie uważasz?*

— *Oczywiście, biała, różowa i blond, cał-kiem nowa, jakby ją dopiero co wyjęto z fu-terala.*

Tak komentując urodę kasjerki weszli na salę i potykając się w ciemnościach odgadli jakiś rząd krzesel wolny od brzegu.

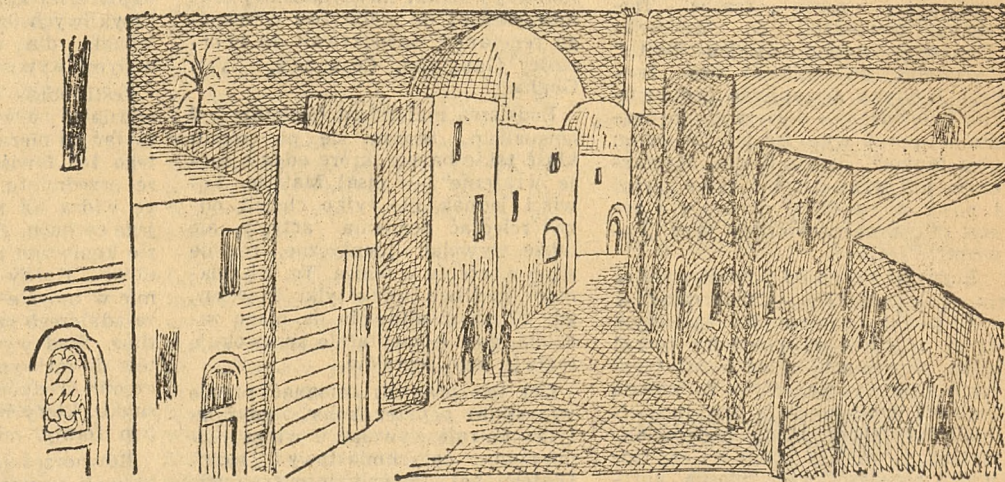
Pięgaty Mickey Rooney, który już wydor-śiał i był teraz rzyżym, nieładnym, ale ujm-ującym mężczyzną — mówił od czasu do cza-su smukłą szyję i małe wycięcie bluzeczki, tzw. po krawiecku karczek małej Francuzki z okienka. Cwojka przecierł dłońią oczy, gniótł nos, łapiąc się na tym, że chwilami zupełnie nie uważa. — *Jak myślisz* — zwi-e-rzył się ze swoich rozmyślań Sternowi — *czy ona przyjęłaby zaproszenie na kawę z ciastkiem?*

— *Na kawę?*

— *No to na whisky and soda, ty byś chciał od razu cały bal na kółkach.*

— *Przyjmie, ma się rozumieć. Ale teraz stul dziób. Przeszkadzasz, jak Boga kocham.* Antos uspokoił się na resztę programu, za-wierając już całkowicie obranej po cichu taktyce i zaraz po zabłyśnięciu światła na salę obydwa, jak na komendę, rzucili się do wyjścia i zawrócili do westybulu. Tam nie-sięty kasjerka była bardzo zajęta sprzedawa-niem biletów na nowy seans i Cwojka zdołał jej tylko powiedzieć pułkawszy w szybę, że oni tu później wrócą. Dziewczyna wyglądała na skonsternowaną, ale nie powiedziała — nie.

Wyszli pokreślić się trochę i zajrzeli znowu po godzinie, akurat w środku między dwie-ma pauzami. Z westybulu wymiotło wżys-tkich z wyjątkiem paru osób oglądających



ABC SZTUKI NOWOCZESNEJ

Adam Kotula
Piotr Krakowski

4)

GRUPA NABIS

Jesienią 1888 r. Sérusier przywiózł z Pont-Aven swój słynny „talizman”, pejzaż namalowany wg wskazówek Gauguina i pokazał go swoim kolegom z pracowni Julliana. Pod wpływem tego „objawienia” gono młodych malarzy skupia się wokół nowej estetyki, tworząc charakterystyczną dla owej epoki skłonnością do mistyfikacji tajemną grupę „wtajemniczonych”, dla której poeta Cazalis wymyślił zaczerpniętą z hebrajskiego nazwę „Nabis”, tzn. Prorocy. Wkrótce do grona pierwszych wyznawców nowej ewangelii — Sérusiera, Bonnard, Ransona, Denisa — przylaczają się m. in. Vuillard, Roussel, Szwajcar Vallotton oraz rzeźbiarze Lacombe i Maillol. Historia grupy Nabis zamyka się w latach 1889–1900, między wystawą „Malarze impresjoniści i symboliści” z 1891 r., a wystawą „W hołdzie Odilon Redonowi” z 1899 r.

Teoretykiem grupy był Maurice Denis, który w 1890 r. opublikował w „Art et Critique” swój słynny manifest, gdzie m. in. pisał: „Pamiętać, że obraz zanim stanie się koniem bojowym, nagą kobietą czy jakąkolwiek anegdotą, jest przede wszystkim płaską powierzchnią pokrytą kolorami zestawionymi w pewnym porządku”. Malarzki symbolizm wywodził się wg Denisa z

twórczości Gauguina, u którego „impresjonizm przekształcił się w syntetyzm, dekoracyjną i hieratyczną formę uproszczenia i deformacji, ten zaś przeszedł w symbolizm, tzn. w transpozycję natury w dziedzinę ducha i wyobraźni”. Kopiowanie rzeczywistości, twierdzi Denis, jest absurdem, gdyż rzeczywistość jest niepoznawalna. Sztuka musi więc być czysto subiektywnym środkiem ekspresji. Doktrynę malarzkiego symbolizmu streszcza Denis w teorii dwóch deformacji: „Deformacja obiektywna, opierająca się na koncepcji czysto estetycznej i dekoracyjnej, na technicznych zasadach stosowania barw i komponowania — i deformacja subiektywna, wprowadzająca w grę osobiste wrażenie artysty”.

Nabisie przecistawiali się próbom wprowadzenia do malarstwa elementów symbolizmu literackiego w postaci tematyki alegorycznej; wrażenia swoje pragnęli odtwarzać wyłącznie środkami czysto plastycznymi przy pomocy gry barw, kształtów i linii. Kontynuowali częściowo syntetyzm grupy Pont-Aven: płasko kładziony kolor, ekspresja silnie uproszczonego konturu, hieratyczność form, brak perspektywy i wyraźnego modelunku; zarazem jednak dążyli do nadania barwie większej świetności, do bardziej wyrafinowanych harmonii, podkreślali silniej elementy dekoracyjności. Malowali często na kartonie, stosowali specjalną technikę dla nadania farbie matowości, kontrastowali kolor z partiami czystego kartonu, nakładali zimne tony na podkład z tonów ciepłych dla uzyskania specjalnych efektów kolorystycznych itp.

Oddani całkowicie sztuce, którą uważali za najwyższą wartość, pragnęli wprowadzić ją do wszelkich dziedzin życia. Obok malarstwa olejnego i akwareli uprawiali także litografię, projektowali witraże i plakaty, współpracowali z „Théâtre d'Art” Paul Forta i „Théâtre de l'Oeuvre” Lugné-Poe projektując dekoracje, kostiumy, okładki programów, ilustrowali czasopisma i książki (wydana w 1893 r. „Podróż Uriana” Gide'a z ilustracjami Denisa jest pierwszym przykładem nowoczesnej koncepcji książki ilustrowanej już nie przez specjalistę od reprodukcji, lecz przez samego malarza).



FELIX VALLOTTON MANIFESTACJA

PIERRE BONNARD 1896 MAŁA PRACZKA



KEES VAN DONGEN 1906 BALET



ALBERT MARQUET 1906 PLAKATY W TROUVILLE



OTHON FRIESZ 1907 PEJZAŻ

FOWIZM

W 1905 r. krytyk Louis Vauxcelle zobaczywszy w Salonie Jesiennym w sali z obrazami Matisse'a, Marqueta, Deraina, Vlamincka, Friesza, Dufy'ego, Van Dongena, Braque'a, głowę dziecięcia rzeźbiarza Marque'a przypominając nieco rzeźbę florencką, powiedział do Matisse'a: „Donatello wśród dzikich bestii” (Donatello au milieu des fauves). Krytyka skwapliwie podchwyciła powiedzonko dołączając do normalnej porcji wyzisk jeszcze jedno: „les fauves”, dzikie bestie. Wystarczyło już teraz dorobić tylko „izm” i nowy kierunek w malarstwie został oficjalnie ochrzczone jako „Fowizm”.

Rozwijał się on od początku stulecia, w latach 1906 — 1903 osiągnął swój punkt kulminacyjny, po czym drogi artystów skupionych wokół kilku wspólnych założeń estetycznych rozeszły się. Było to zresztą logiczną konsekwencją ich indywidualizmu, który silnie podkreślali, głosząc, że malarz powinien realizować i rozwijać swoją własną, autonomiczną osobowość artystyczną. Fowiści przecistawiali malarstwu

realistycznemu — programowy antyrealizm, impresjonizmowi — dążenie do ścisłej konstrukcji obrazu, do monumentalności, do ukazywania świata w postaci stałej, niezmiennej, nabizmowi wreszcie i symbolizmowi — nowe pojęcie dekoracyjności w malarstwie, wynikającej nie z dowolnej stylizacji natury lecz z deformacji podporządkowanej rygorom kompozycji. Sami sięgali do sztuki ludowej i sztuki meksykańskiej oraz murzyńskiej, do malarstwa wczesnego renesansu, nawiązywali do twórczości Gauguina, Cézanne'a, Van Gogha.

Podstawą malarstwa fowistów był sensualizm. „Staram się po prostu kłaść takie barwy, które oddają moje wrażenie” — pisał Matisse. Fowiści jednak nie tylko chcieli odzwierciedlać doznania artysty, ale także wywołać identyczne, równie silne wrażenia u widza. To, ich zdaniem, możliwe będzie tylko wówczas, gdy obraz gwałtownie na niego zadziała, gdy momentalnie sprowokuje reakcję jego zmysłów.

Cel ten pragnęli osiągnąć przede wszystkim poprzez kolor, gdyż on tylko potrafi wywołać u widza zamierzony natychmiastowy „szok”. Dlatego też używali intensywnych, jaskrawych barw kładąc na płótnie czyste farby brane wprost z tuby

przez co, jak pisał Derain, „kolory stawały się nabojami dynamitowymi”. W paletcie fowistów przeważały barwy zimne, zielone, niebieskie, fioletowe, k'adzone podobnie jak u Gauguina dużymi płaskimi plamami, lub wzorem Van Gogha nerwowymi, grubymi pociągnięciami pędzla. W celu wzmocnienia ekspresji obrazu fowiści szukali nie harmonii lecz dysonansów przez śmiałe zestawienia najbardziej kontrastujących ze sobą, krzykliwych kolorów, rozdzielonych jednak, dla uniknięcia kakofonii, białymi wypustkami.

Jeśli obraz ma natychmiastowo oddziaływać na widza, ten musi go odczytać od pierwszego rzutu oka. Dlatego też fowiści pragnęli dać syntezę przedmiotu, skoncentrować uwagę widza na najbardziej istotnych jego cechach. „To co nie jest w obrazie konieczne jest tym samym szkodliwe... Każdy zbędny szczegół zajmie w umyśle widza miejsce innego, zasadniczego szczegółu” — pisał Matisse. Stąd wynikało dążenie fowistów do maksymalnej prostoty i ekonomii środków, do uproszczenia rysunku, który miał być tylko symbolem formy, miał ją sugerować.

Równocześnie jednak fowiści traktowali rysunek jako element dekoracyjny, a zarazem jako jeden z elementów kompozycji obrazu. Stoso-

wali więc często barwne kontury lub też białe obwódki, bardziej dekoracyjne i silniej uwydatniające kolor. Linie bowiem pełniły w ich obrazach rolę służebną wobec koloru, który był naczelną zasadą fowistycznego malarstwa.

Forma przedmiotów, ich proporcje i rozmieszczenie, były podporządkowane ogólnym założeniom konstrukcyjnym obrazu, który powinien być skomponowany odpowiednio do formatu płótna i stanowić organiczną, tak ściśle wyważoną całość, że zmiana jednego elementu musiałaby pociągnąć za sobą zmianę całej kompozycji. Równowagę obrazu, jego zwartość, uzyskiwali fowiści przez odpowiedni układ linii i powierzchni barwnych, przy czym głównym czynnikiem organizującym powierzchnię obrazu był kolor. „Pewna niezbędna proporcja barw może mnie skłonić do przestawienia formy przedmiotu lub zmiany kompozycji” — pisał Matisse; a w innym miejscu: „Jest dla mnie rzeczą niemożliwą niewolniczo kopiowanie natury, którą muszę interpretować i podporządkowywać duchowi obrazu”. Artysta, zdaniem fowistów, ma pełne prawo przekształcać rzeczywistość zgodnie z wymogami sztuki; przedmioty, postaci ludzkie są rozpatrywane wyłącznie pod kątem ich funkcji pla-

stycznej, stają się tylko pretekstem do gry barw i arabesk. Fowiści bowiem nie chcieli naśladować natury lecz współtworzyć z nią. W obrazach ich zarówno układ przedmiotów jak i barwy nie mają nic wspólnego z rzeczywistością. Stąd zielone nieba, cynobrowe rzeki, żółte drzewa, zielone twarze, niebieskie włosy, jeśli wymagała tego kolorystyczna koncepcja obrazu.

Traktując obraz jako wyłącznie dekoracyjne rozwiązanie płaskiej powierzchni płótna, fowiści odrzucili perspektywę, bryłę i modelunek, a więc także grę światła i cienia. Światło u nich nie modeluje przedmiotów, nadaje natomiast barwom większą intensywność, nie jest więc ukazywane lecz jedynie sugerowane. Podobnie zresztą bryły sugerowane są uproszczonymi liniami, a przestrzeń odpowiednim rozłożeniem jasniejszych i ciemniejszych tonów lub kontrastowym zestawieniem dysocjujących barw. Fowiści bowiem modyfikując rzeczywistość nie zerwali z nią całkowicie.

Fowizm wywarł silny wpływ na niemiecki ekspresjonizm, a przez swoje traktowanie koloru i linii prowadził do abstrakcjonizmu. Orfizm zaś przejął od fowistów koncepcję organizującej funkcji koloru a kubizm dążenie do konstrukcji obrazu.

REDAGUJĄ CZYTELNICY

Z teki dobrych pomysłów

Zabytki — „Lajkonik” i... higiena

Jestem zapalonym zwolennikiem „Lajkonika”. Tych 15 złotych odno-
sę każdego tygodnia do punktu od-
bioru i chociaż nie dotychczas nie
wygrałem, pocieszam się, że pienią-
dze przeze mnie wydane idą na szla-
chetne cele. Prasa często podkreśla,
że ratowanie zabytków krakowskich
nabrało nowych rumieńców z chwilą,
gdy poczęły napływać pierwsze fun-
dusze z „Lajkonika”. Budzi się jed-
nak wątpliwość, czy słusznie poste-
pujemy, przeznaczając jedynie i wy-
łącznie te poważne kwoty na remont
zabytków.

Opadły mnie jednak ostatnio wąt-
pliwości, gdy przechodziłem onegdaj
ulicą Sławkowską i zauważyłem spo-
sób wywożenia śmieci. Wiatr rozno-
sił je z odkrytego wozu, a wokół roz-
nosiła się woń zgnilizny. Jakże to nie-
nowoczesne i niehigieniczne... Czy nie
należałoby część pieniędzy z „Laj-
konika” przeznaczyć na zakup zam-
kniętych aut do wywozu śmieci i aut

zaopatrzonych w szczotki. Sądzę, że
wszyscy krakowianie przyklasną me-
mu projektowi, by część funduszy
społecznych plynących z gry w „Laj-
konika” przeznaczyć na podniesienie
higieny w naszym mieście i w in-
nych miastach województwa.

Nie neguję potrzeby ratowania za-
bytków, ale to stanowczo przesada i
jeszcze jeden przejaw naszego ró-
mantyzmu, tak ogromne pieniądze
przeznaczyć wyłącznie na ratowanie
zabytków. Kraków zyskał ostatnio
kilkę nowych nawierzchni ulicznych.
Codzienną ich toaletę winny prze-
prowadzać auta zaopatrzone w ol-
brzymie szczotki. Zyska na tym o-
blicze miasta. Aby nasz gród pozbył
się złej sławy najbrudniejszego mia-
sta, należy skorzystać z tak niezwy-
klej okazji i przeznaczyć przynaj-
mniej fundusze z dwu ciągnięć na
higienę.

ANTONI LUBOSZ
Kraków



Odpowiedzi redakcji

Jerzy Olpiński, Kraków, Nowo-
wieska 9, m. 5. Można by do kon-
kursu włączyć jeszcze wiele innych
artystek, wybraliśmy najbardziej po-
pularne. Czytelnicy na pewno będą
typowali w konkursie na podstawie
scen z różnych filmów, a nie tylko
reprodukcji w „Zdarzeniach”. Chcąc
nagrodzić artystkę, trzeba by co naj-
mniej posłać jej Wartburga...

Adam Fronta, Nowa Huta, Osiedle
B1, 33/31. Za ent zjastyczne okrzyki
dziękujemy. Rozwiązanie dobre ale
nadeszło już po rozlosowaniu na-
gród.

M. Szezegół. Rozbudujemy dział
krzyżówek na pewno. Pomysł nieu-
stającego konkursu-krzyżówki wy-
magałby prowadzenia szczegółowej
ewidencji czytelników nadsyłających
trafne rozwiązania w ciągu miesią-
ca.

Marian Hodowski, Kraków, Augu-
stiańska B1, PDM. Za życzenia i po-
mysły dziękujemy. Nie wszystkie
dobre rady pańskie da się zrealizo-
wać ze względów choćby technicz-
nych.

LE-KA. Prosimy raczej o typ ko-
respondencji omawiający bardziej
konkretnie zagadnienia, jak to było
w pierwszym liście.

Maria B. Ponieważ kilku czyteln-
ków przesłało głos na Marię Vladę,
włączamy ją do konkursu. Pani głos
liczy się również. Prosimy jednak o
adres.

Tadeusz Pisarek, Rzeszów. Na ży-
czenie Pana w najbliższych nume-
rach „Zdarzeń” wydrukujemy arty-
kuł na temat: „Jak produkuje się
igły i szpilki”.

„LAJKONIK” Czytelnicy wymieniają doświadczenia

Narodziny gry liczbowej „Lajko-
nik” zelektryzowały mieszkańców
województwa krakowskiego. Ta fa-
scydująca, pełna emocji gra znana
jest od dawna w wielu krajach i
cieszy się wszędzie wielkim powo-
dzeniem. „Lajkonik” jest drugą w
Polsce grą liczbową po „Karolin-
ce”. Obecnie myślą o wprowadze-
niu podobnych gier inne wojewódz-
twa. Województwo rzeszowskie
wprowadziło „Konieczkę”. Pierw-
sze ciągnięcie odbyło się ostatniej
niedzieli.

Mając na uwadze ogólne zainte-
resowanie grą liczbową, redakcja
„Zdarzeń” wprowadza stałą rubry-
kę. Będziemy w niej podawali wie-
domości o podobnych grach prowa-
dzonych za granicą oraz w innych
miastach Polski w miarę jak tam
będą powstawały. W rubryce tej
znajdą czytelnicy historię gry licz-
bowej. Postaramy się odpowiedzieć
na pytania czytelników. Ciekawsze
uwagi czytelników będziemy dru-

kowali. Dzisiejszy odcinek poświę-
camy „Lajkonikowi”.

Numery wylosowane w pierw-
szych ośmiu ciągnięciach:

w I ciągnięciu:	7-59-73-82-85
w II ciągnięciu:	6-53-57-88-90
w III ciągnięciu:	5- 9-18-22-52
w IV ciągnięciu:	20-27-46-62-68
w V ciągnięciu:	12-23-25-41-42
w VI ciągnięciu:	16-61-66-81-87
w VII ciągnięciu:	6-24-53-85-90
w VIII ciągnięciu:	11-33-40-45-86

Kilka ciekawych danych po siedmiu
ciągnięciach

Sprzedano	6.818.525 kuponów
na sumę	19.855.575— zł
dotychczas wygr. 61	
czwórek	4.963.893,25 zł
dotychczas wygr. 5.137	
trójek	2.481.354,20 zł
dotychczas wygrało	
146.755 dwójek	2.476.806,45 zł

Jak pozbyłem się makulatury

Drodzy redaktorzy „Zdarzeń”. Na-
mawiacie do przesyłania dobrych po-
mysłów. Zachęcaacie nawet książka-
mi. Mam taki jeden pomysł, który
mi dawno chodzi po głowie. Nagro-
madiła się u mnie w mieszkaniu
sterta starych papierzyków. Co z tym
fantem zrobić? Spalić w piecu szko-
da i komin łatwo zabić sadzami. Na
śmietnik nie wolno wyrzucać. No-
sić do punktu skupu to kłopot i cięż-
ko. Ja urządziłem się inaczej. Na-
mówiłem mleczarkę dostarczającą mi
codziennie mleko butelkowe, by zabrała
sobie cały zapas i sprzedała go, a uzy-
skaną gotówkę sobie zatrzymała. U-
zbierało się tego sporo i kobiecieśko
zabrało cały zapas (coś z 50 kg) na
swoją wózek.

W każdym mieszkaniu leżą stopy
makulatury i albo się je pali albo
wyrzuca. Może mój pomysł z mle-
czarką nie najlepszy ale oddałem w
ten sposób na użytek państwa sporo
kilogramów makulatury. Gdyby mie-
szkania obchodzili ludzie, którzy
trudniliby się dostarczaniem maku-
latury do punktów skupu, na pewno
wielu ludzi pozbyłoby się balastu
bezzastępczego. Jeszcze lepiej by-
łoby, gdyby instytucja skupująca pa-
pier podawała swój telefon i przysy-
łała ludzi po odbiór.

Co o tym sądzicie? Może mój po-
mysł na coś się przyda.

FRANCISZEK RĄCZKA
Katowice

Od redakcji

Nasz apel o zgłaszanie dobrych po-
mysłów dał szybkie wyniki. Druku-
jemy dwa pierwsze listy, które na-
desłali nasi czytelnicy. W myśl o-
bietnicy nagrodę w tym tygodniu w

postaci wartościowej książki otrzy-
muje p. Antoni Lubosz, którego pro-
simy o zgłoszenie się do redakcji
„Zdarzeń” po odbiór. Czekamy na
dalsze pomysły. Będziemy je ogła-
szali co tygodnia.

JASZCZUR I LILIANNE

Ciąg dalszy ze str. 9

très intéressant. — Czy pani wie,
że kratownice Baileyowskie wygryają wojnę?!

— Z pewnością! Antoine, dlaczego patrzy
pan na mnie bez przerwy i uśmiecha się?

Antoni, rzeczywiście, podparty ręką pod
brodę przez cały czas wykładu o kratowni-
cach, nie spuszczał z niej oka.

— Vous etez très jolies, Lilianne. — To zda-
nie przygotowywał bardzo długo, miał czas,
i wyrecytował je teraz po francusku.

— Merci, Antoine.

— Vous... — ale zrezygnował z dalszego
szukania po omacku w gęstwie całkiem ob-
cego słownictwa. — You are twenty four,
aren't you? I have a sister in your age, ex-
actly — wpatrzył się w nią i dalej uśmiechał
się przyjaźnie, tak jak zazwyczaj młody męż-
czyzna w kobiecie, która mu się podoba, tro-
chę jak kochanek, a trochę jak brat.

Wtedy Liliana, dotykając przelotnie jego
garści, złożonej na stole, powiedziała jedno
słowo po angielsku:

— Homesick? — Tak jakby był Anglikiem
i brzmienia jego ojczystego języka w ustach
cudzoziemki mogło mu sprawić przyjemność.

— Yes, very much.

Tymczasem wszystkie trzy parki zdążyły
ułożyć się już z lokalu, zostali sami, kelner
przyszłedł po zapłaceniu rachunku i należało
się stąd zabierać. Odprowadzili Lilianę Co-
chinot do domu, pod niepozorną kamieniczkę,
ale w dzielnicy na szczęście niezbyt odległej
— i umówili się z nią, podobnie jak dzisiaj
— na dzień jutrzejszy. Nie stawiała przeszkód
takim spotkaniom, ale — jak się zdaje — do
niczego ją to też nie zobowiązywało. Któryś
z nich zapytał, strzelając — dla mądrego wy-
jaśnienia sytuacji — w sedno, co mianowi-
cie powie na to jej narzeczony, fiancé? Od-
powiedziała, że nie ma żadnego fiancé. To ich
uradowało. Au revoir et merci. — Au re-
voir. — Kiedy odeszła i zamknęła za sobą
bramę, spróbowała odczytać przy świetle za-
palki numer domu, a potem na instynkt i w
ogóle wyczucie kierunku wracali w stronę
swoich garażów. Zaciemnione miasto, zwłasz-
cza z początku, zanim doszli do pryncypal-
nych ulic, cuchnęło mocnym kotów i gniją-

cymi figami, a potem znowu, kiedy przecięli
Al Rashid w drugą stronę — to samo. Pochło-
dniało znacznie, błyszczały mokre bruki. Po
drodze zastanawiali się, kim może być na-
prawdę Liliana Cochinot i skąd się tutaj
wzięła? Czy mieszka w Bagdadzie od dawna,
czy przywiała ją wojna? Kto się jeszcze kry-
je za ścianą odrapanego domu, przed którym
stanęli — właścicielka pensjonatu, rodzina,
mąż — i to możliwe, — kochanek? Nie roz-
porządzałaby czasem tak swobodnie, ale kto
ich tam wie? Takiego pytania nie mogli
przecież postawić wprost.

Bardzo długo kolatali do furty w murze
warsztatów samochodowych, a kiedy wyszedł
w końcu stróż nocny i upewnił się przez ju-
dasza, że wracają dwaj żołnierze od zdefek-
towanej maszyny, otworzył im i zasypał od
razu niezrozumiałym szwargotem; nie wie-
dzieli — napastliwym, czy przyjaznym? Nie
odzywając się, odgadli jednak, że przyjaz-
nym. Ucieszył się widać, że w środku nocy
może do kogoś pysk otworzyć.

W swoim Austinie wyciągnęli śpiwory
spod deski w szoferce, wdrapali się od tyłu
pod budę i strzepnawszy tylko bućki z nóg
wzięli we worki po pachy. Za wezgielowa po-
służyły im polstry od siedzeń.

Stern stęknął parę razy, przewracając się
z boku na bok i powiedział w przestrzeń sen-
nym głosem:

— Jutro, Antos, pójdziesz do niej sam.

— O! Nie spodobała ci się?

— Nie, owszem, przeciwnie. Tylko tam nie
ma miejsca na dwóch. Skoro do siostry ją
przyrównujesz, znaczy, że masz wobec niej
rodzinne zamiary. Nie chcę ci przeszkadzać.
Jutro na własną rękę coś sobie poszukam.

— To bardzo ładnie z twojej strony, Józek.
Ależ dzień! Co?!

— Jak z tysiąca i jednej nocy.

— Ba, jesteśmy w Bagdadzie.

— Tylko na dziurawym latającym dywanie
— tu stuknął pięścią w deskę chassis. —

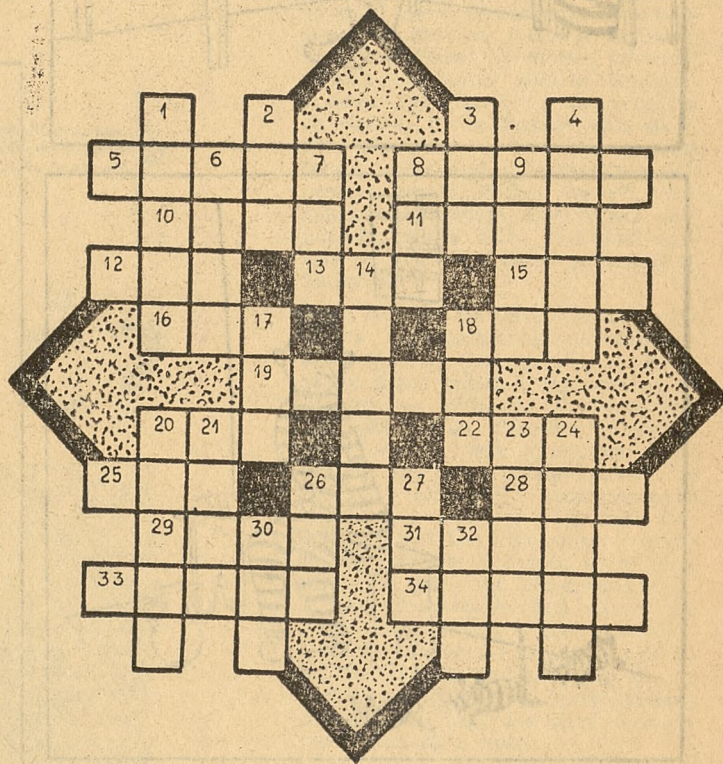
Jak myślisz, pake mogą dostać?

— Ee, chyba nie Dobranoc... Czujesz figi?

— Mhm, i koty. Szczurów muszą mieć za-
trzęsienie. Dobranoc.

(C. d. n.)

KRZYŻÓWKA



Poziomo: 5) drzewo liściaste, 8)
kpiny, drwiny, dowcipy, 10) pora
roku, 11) grecki bóg wojny, 12) „świ-
drowaty” wzrok, 13) stępka na spo-
dzie statku, 15) ciało lotne, 16) przy-
siówek, 18) agencja prasowa w Pol-
sce, 19) ciemna machinacja, wielki
skandal, 20) ma go furman, 22) słu-
ży do pieczętowania listów, 25) ty-
tuł tragedii Corneille'a, 26) spójnik,
28) zwój włosów, 29) największa ra-
dziecka agencja prasowa, 31) typ pi-
stoletu maszynowego, 33) miasto po-
wiatowe w woj. białostockim, 34)
imię męskie.

Pionowo: 1) zespół zawodowych
tancerzy i tancerek, 2) zwierzę do-
mowe, 3) cesarz w dawnej Rosji, 4)
służba do podłogi lub do czyszczenia
butów (wspak), 6) rodzaj naczyń
do podawania zupy, 7) okres czasu
8) smutek, gorzyc, 9) rzeka w pół-
nocno-zachodniej cz. kraju, 14) pier-
wiastek chemiczny, 17) oprawca, 18)
zaciosany kolek, 20) miasto przemy-
słowe na Górnym Śląsku, 21) kon-
tuar w sklepie (wspak), 23) paka to-
warów, zwój tkaniny (wspak), 24)
miasto nad Wartą, 26) rzeka wpada-

jąca do Wisły koło Grudziądza
(wspak), 27) tuzy (wspak), 30) mary,
przewidzenia nocne, 32) głos żeński
(wspak).

(„Oskar”)

ROZWIĄZANIE ZAGADKI:
„TAK CZY INACZEJ”

1. Nie, człowiek, który włada wie-
loma językami.
2. Nie, zwierzę morskie.
3. Nie, wodociąg.
4. Nie, rodzaj zyrafy.

ROZWIĄZANIE ZAGADKI:
„DWA IMIONA — NAZWISKO”

1. Karol Maria Weber,
2. Gotthold Ephraim Lessing,
3. Jan Sebastian Bach,
4. Jan Wolfgang Goethe,
5. Thomas Alva Edison,
6. Wolfgang Amadeusz Mozart.

ROZWIĄZANIE ZAGADKI
ARYTMETYCZNEJ

80 — 68 = 12

— : — = 1

38 + 34 = 72

42 X 2 = 84

HUMOR

PARIS MATCH

